Serya III. Wrzesień 1897. Nr 7.

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY: DAWN 7, Beaumont Square. Mile End Road London E.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
Przedpłata roczna wynosi: 4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol. w kopertach: 5 flor. — 4 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

ORGAN ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH

Zadania Socyalistów Polskich w zaborze pruskim

I.



N trzech części naszej ojczyzny zabór pruski stanowczo najbardziej jest upośledzony. Niema tam co prawda tego brutalnego, azyatyckiego ucisku, co w zaborze rosyjskim, niema może takiej nędzy masowej, jak w Galicyi, ale za to w Poznańskiem pod skombinowanem działaniem ucisku politycznego, germanizacyi i nędzy odbywa się jakiś rozkład społeczny, zanik życia narodowego, które wyciskają swe piętno na wszystkiem i wszystkich. Warszawiak, który przyjedzie do Poznania, zajrzy do tumu, zwiedzi Towarzystwo Przyjaciół Nauk, kupi akcyę Banku ratunkowego, gdy go na to stać, i wyjeżdża ze smutnem przeświadczeniem, że prowincya ta nieodwołalnie skazana jest na wynarodowienie. Jeżeli jest socyalistą, to nie będzie nawet wiedział, gdzie ma zajść, żeby się z towarzyszami spotkać. Przy lepszem poznaniu stosunków, które w tej zachodniej połaci naszego kraju panują, przekona się on oczywiście, że to pierwsze wrażenie było mylne, ale dowie się za to innych, również smutnych rzeczy.

Więc przedewszystkiem zauważy on, że chociaż błędem byłoby absolutnym sądzić, że element polski w zaborze pruskim skazany jest na wymarcie, ponieważ język polski słychać w Poznaniu dopiero na Chwaliszewie i Śródce, jednak stosunki narodowe w Poznańskiem, w Prusach i na Szląsku są wprost opłakane.

W Poznaniu, stolicy kraju, nie drukuje się prawie nic poważnego po polsku. Jeżeli przejrzymy ostatnie stronice dzienników, to znajdziemy tam tylko ogłoszenia o dziełkach religijnych lub „ludowych“ historyach fantastycznych, pisanych ohydnym językiem. Niema w Poznaniu (o prowincyi nie warto pod tym względem nawet wspominać) ani jednej poważnej firmy wydawniczej od czasu śmierci starego Żupańskiego, a tacy, cieszący się pewnem poważaniem w sferach naszych patryotów dawnego autoramentu — pisarze i zarazem wydawcy, jak Chociszewski, wydają „Kabałę, czyli sztukę wróżenia kropkami, przez wielu poważaną“ — i podobne idyotyzmy, przeznaczone do systematycznego zatruwania umysłów ludowych, ale wydawane z powodu ich poczytności. Paru magnatów prowadzi sport drukowania starych dokumentów, ale są to rzeczy specyalne i nie czytane w zaborze pruskim absolutnie przez nikogo. Przytem lada dzień może tym panom inna fantazya strzelić do głowy, a wtedy i to się urwie. Ba, w Poznańskiem nie tylko książek się nie wydaje, ale nawet z innych zaborów nie sprowadza. Księgarze warszawscy zapewniali mnie, że do Poznania posyłają po 2—3 egzemplarze, często zaś nic.

I tej lżejszej strawy umysłowej, jaką stanowią miesięczniki oraz tygodniki, Poznańskie nie posiada. Od wielu już lat nie może się utrzymać w Poznaniu ani jedno większe wydawnictwo literackie, w rodzaju tygodników, które tak są rozpowszechnione w zaborze rosyjskim, lub miesięczników galicyjskich. Świeżo byliśmy świadkami jednej takiej nieudatnej próby—śmierci Przeglądu Poznańskiego, który nie pozostawił po sobie najmniejszych śladów.

Młodzież polska, studyująca po uniwersytetach niemieckich, nosi na sobie to samo piętno jałowości i skarłowacenia umysłowego, które cechuje „inteligencyę“ całego kraju. Żaden z nich nie poświęca się studyom z upodobania do danej nauki, chociaż chłopców zamożnych, zatem niezależnych, między nimi nie brak. Żaden nie obiera sobie, po wyjściu z uniwersytetu, karyery naukowej, lecz wszyscy stają się „lekarzami praktycznymi“, adwokatami, czasem nauczycielami lub urzędnikami w prowincyach niemieckich. Jeżeli dziś we wszystkich kra

jach Europy młodzież jest ogromnie „praktyczna“ i przejmuje się coraz bardziej ideałami burżuazyjnymi, to w Poznańskiem doszło to chyba do najwyższego stopnia. Dość powiedzieć, że ani ruch socyalistyczny, ani demokratyczno-narodowy nie uzyskały dotąd a n i j e d n e g o adepta z pośród młodzieży uniwersyteckiej zaboru pruskiego.

Zszedłszy „niżej“, do klas biedniejszych, zauważymy to samo zjawisko, choć może nie w tak rażącej formie. Lud poznański jest niezmiernie ciemny, pokorny i niewyrobiony politycznie. Nasza burżuazya dużo lubi pisać i gadać o chłopie poznańskim, wystawiając go jako ideał, w porównaniu z włościaństwem innych zaborów. Rzeczywiście jest to ideał, ale z punktu widzenia szlacheckiego. Przymusowa szkoła pruska doprowadziła co prawda ilość analfabetów w prowincyach polskich do minimum, nieznanego w innych zaborach, ale cóż z tego, kiedy ludzie ci nie korzystają ze swej umiejętności czytania oraz pisania. Co czyta chłop poznański lub górnoszląski? „Wielkopolanina“ lub „Katolika“ — dwa piśmidła, chyba specyalnie przeznaczone do ogłupiania czytelników, nie dające nic absolutnie, oprócz lichych anegdot politycznych oraz bajek o okropnościach socyalistycznych. Po za tem zaś rozchodzą się tam historye o Magielonie, św. Genowefie i t. p. bezeceństwa. Kółka rolnicze, tak rozreklamowane w dwóch pozostałych zaborach, może podniosły materyalnie pewną ilość włościan, ale pomimo tego statystyka pokazuje, że drobna własność ziemska upada w Poznańskiem coraz bardziej — ilość chłopów średnio zamożnych zmniejsza się, rośnie proletaryat małorolny i bezrolny. Zaś pod względem politycznym chłopi poznańscy i pruscy nie zdobyli się dotąd na żadną politykę samodzielną — idą na pasku szlachty lub, w najlepszym razie, szarlatanów politycznych w rodzaju doktora Szymańskiego. Partyi prawdziwie chłopskiej w zaborze pruskim dotąd niema.

Pozostaje proletaryat uświadomiony, ale o tym niżej.

Czem sobie powyższe zjawisko objaśnić?

Odpowiedź znajdziemy w historyi życia ekonomicznego zaboru pruskiego. Przedewszystkiem niema tam i nie było nigdy rozwiniętego przemysłu i co zwykle za tem idzie — dużych miast, oraz silnej burżuazyi. Miast czysto polskich zabór pruski nie posiada wcale : Poznań, ta stolica kraju, jest napoły zgermanizowany (jeśli żydów zaliczyć do niemców), Gdańsk był zawsze niemiecki, choć ludność jego odznaczała się za czasów Rzeczypospolitej namiętnem przywiązaniem do Polski, Królewiec tylko przez krótki czas (w XVI w.) nosił charakter polski, Bydgoszcz i Toruń są też mocno wynarodowione, zaś Górny Szląsk ma dużo miasteczek, ale ani jednego centrum. Wszystkie wogóle miasta były już w zeszłym wieku przesiąknięte elementem niemieckim, a odtąd jeżeli zaszła w nich jaka zmiana, to zwykle na gorsze. Słaby rozwój przemysłu i jego skoncentrowanie w rękach niemieckich na G. Szląsku i po części w Poznańskiem oraz Prusach spowodowały to.

Brak burżuazyi w rzeczywistem tego słowa znaczeniu nie pozwolił wytworzyć się stronnictwu mieszczańskiemu, z odrębnemi aspiracyami politycznemi, lub wogóle społecznemi. Nie mieliśmy tam ani czegoś podobnego do zwolenników t. zw. pracy organicznej, jak w Królestwie po upadku ostatniego powstania, ani wolnościowych ruchów burżuazyi zachodnio europejskiej z przed 1848 r., lub choćby z siódmego lat dziesiątka. Mieszczaństwo poznańskie szło zawsze na pasku szlachty i przed r. 1848 było wraz z nią patryotyczne, w części zaś rewolucyjne, a od czasów k u l t u r k a m p f u jest klerykalne i konserwatywne. Drobny zastęp, który grupuje się około „Orędownika“ i dra Szymańskiego, występuje przeciwko szlachcie więcej z punktu widzenia zawiści mieszczucha względem butnego szlagona, niż jako świadomi przeciwnicy pewnego programu politycznego.

Przejdźmy do wielkiej własności ziemskiej. Znano jest mistrzowstwo, z jakiem rząd pruski zabrał się po rozbiorze Polski do rujnowania szlachty. Wysokie podatki i łatwy kredyt, zgubny dla ludzi, którzy przywykli do nierachowania się z groszem, niszczyły szlachtę polską z taką szybkością, że obecnie znikłaby ona prawdopodobnie dawno z powierzchni ziemi, gdyby proces jej wywłaszczania nie został powstrzymany przez utworzenie Księstwa Warszawskiego. Po roku 1815 ziemiaństwo polskie przystosowało się bardziej do nowych warunków, jednak przechodzenie ziemi do rąk niemców nie ustało wcale, choć nieco zwolniało. Dziś wielka własność ziemska przechodzi u nas, jak i wszędzie, ciężki kryzys ekonomiczny, z którego wyjście może stanowić chyba tylko uspołecznienie ziemi. Klasa, która upada ekonomicznie, nie jest klasą żywotną, że zaś w dodatku polscy właściciele ziemscy stanowią w niektórych powiatach drobną zaledwo garstkę, utopioną w morzu niemieckim, nic więc dziwnego, że nie są oni w stanie wpłynąć dodatnio na rozwój życia narodowego.

Polityka szlachecka odzwierciadla wyżej naszkicowany stan rzeczy. Do początku tego dziesięciolecia była to polityka biernego oporu, kwękania po kątach i przypominania rządowi parę razy do roku uroczystych obietnic, dawanych ongi przez królów pruskich polakom, obietnic, które według Bismarka niucha tabaki nie

są warte. Potem nastąpiło parę lat lojalizmu zupełnego; zakończył on się brutalnem i niczem nie spowodowanem wyrzeczeniem się usług szlacheckich ze strony rządu. Teraz partya „dworska“ nie ma żadnego programu. Z rządem iść nie może, bo on tego nie chce, zaś do opozycyi energicznej nie jest zdolna. Dla prowadzenia takiej opozycyi należałoby wciągnąć lud do walki, a jakże ma to zrobić klasa, która czuje przepaść pod nogami i deskę zbawienia widzi tylko w pomocy rządowej? Większości szlachty poznańskiej wprost nie w smak wszelki ruch ludowy, nawet czysto patryotyczny, gdyż czuje ona, że ten ruch prędzej czy później zwróci się przeciw przywilejom, które utrzymują ją jeszcze przy życiu.

Tu zwróćmy uwagę na fakt, że dawna Wielkopolska posiadała najmniejszą stosunkowo ilość drobnej szlachty z wszystkich ziem polskich. Tymczasem był to element, który stanowił duszę naszych ruchów rewolucyjnych i demokratycznych XIX-go wieku. Poznańskie nie brało rzeczywistego udziału w żadnem powstaniu. Spisek z r. 1846 został zniszczony za pomocą aresztów, zaś w r. 48 ruszyło się trochę inteligencyi i włościan, ale jak wiadomo, z bardzo małym skutkiem.

Wreszcie włościaństwo poznańskie, chociaż jest bardziej wykształcone i nie tak zbiedzone, jak galicyjskie, jednak znajduje się w bardzo nędznym stanie. Pamiętajmy, że Księstwo stanowi wraz z Pomorzem prowincye o największym procencie wielkiej własności ziemskiej z całej monarchii pruskiej, a i Prusy królewskie i książęce oraz G. Szląsk pokryte są latyfundyami. Drobna ilość ziemi, pozostającej w rękach chłopskich, stanowczo nie wystarcza na wyżywienie ludności, to też ucieka ona za morze od wielu lat.

Powiedzieliśmy już wyżej, że włościanie nie prowadzili dotąd żadnej polityki samodzielnej w zaborze pruskim. Fakt to zupełnie naturalny. Włościanin mało lub bezrolny w żadnym prawie kraju sam nie potrafił stworzyć partyi politycznej dla obrony interesów ludowych, lecz szedł zawsze za innemi klasami. Stronnictwa włościańskie Norwegii, Danii, Niemiec południowych i Szwajcaryi, które stanowią wyjątek pod tym względem, są związkami bogatych chłopów, występujących z brutalnym egoizmem wyłącznie w obronie swych najbliższych,częstokroć bardzo reakcyjnych interesów. Ale takie nawet ruchy możliwe są tylko przy ogólnej atmosferze demokratycznej, a tej u nas niema.

Wszystkie trzy powyższe klasy zorganizowane są dziś w dwa stronnictwa — dworskie i ludowe. Analizę tych dwóch kierunków podaliśmy w swoim czasie (Przedś. z r. 93 N 10 i z 94 N 6), do niej też odsyłamy czytelnika, gdyż od tego czasu w rzeczywistości mało się zmieniło. Partya dworska przestała być co prawda partyą rządową, ale o jakimś wyraźnym oporze wcale nie myśli, zaś ludowcy, chociaż wzrośli cokolwiek w liczbę, ale tak samo, jak i poprzednio nie mają żadnego określonego programu politycznego i ekonomicznego, do rządu zaś odnoszą się wprawdzie nieprzychylnie, ale nie rozwinęli bynajmniej agitacyi, która by choć w części odpowiadała temu niesłychanemu prześladowaniu, jakiemu polacy ulegają od pewnego czasu w Prusiech.

Przejdźmy teraz do innego czynnika, który w bardzo wysokim stopniu przyczynia się do wytworzenia smutnych stosunków politycznych i społecznych w zaborze pruskim. Jest nim g e r m a n i z a c y a.

Dawniej rozpowszechnione było mniemanie, że kultura niemiecka wywiera dobroczynny wpływ na polaków w Prusiech. Burżuazyi imponowały ład i porządek, które w Niemczech panują, wykształcenie, rozpowszechnione tam we wszystkich klasach, wreszcie większe przyzwyczajenie do rachowania się z groszem, stanowiące najwyższy ideał społeczny naszego mieszczaństwa, socyalistom — demokratyzm lub socyalizm, reprezentowany w Niemczech przez potężne partye i przeciwstawiany panującemu w społeczeństwie polskiem konserwatyzmowi i klerykalizmowi.

Bardziej gruntowne zbadanie stosunków, panujących w zaborze pruskim, każe nam wyrzec się tych różowych złudzeń.

Jeżeli mamy uważać oszczędność za niezmiernie dodatni czynnik w życiu społecznem, to przyznać musimy, że wprawdzie Poznańskie dzisiejsze znacznie pod tym względem wyżej stoi od dawniejszego, jednak ilość majątków, sprzedawanych przez polaków dobrowolnie lub pod przymusem sądowym, jest tam stosunkowo większa, niż np. na Litwie, chociaż polska własność ziemska znajduje się tu w daleko gorszych warunkach. Nie można zatem przypisywać tej zmiany wyłącznie wpływowi niemieckiemu. Często zaś „oszczędność“ przejawia się u szlagonów poznańskich pod postacią sprzedawania majątków komisyi kolonizacyjnej, gdyż ta płaci lepiej od nabywcy prywatnego. O wykształceniu ludu mówiliśmy wyżej. Jest to bez wątpienia poważny bardzo czynnik, ale tylko w połączeniu z innym — dojrzałością polityczną. Tej w Poznańskiem brak i lud jej nie nabierze od emerytowanych podoficerów, właścicieli „posiadłości rycerskich“, a nowet od postępowych żydów, którzy stanowią główny kontyngens przybyszów niemieckich. Stąd też lud mały tam robi użytek ze swej wiedzy. A na tem koń-

czą się chyba zdobycze „cywilizacyjne“, które nam dało panowanie niemieckie.

Dalej, należy pamiętać, iż kultura niemiecka, która przenika do Poznańskiego i panuje wszechwładnie na Szląsku, jest właściwie kulturą pruską. Zaś państwo pruskie jest z dawien dawna typowym przedstawicielem zorganizowanego panowania junkrów i biurokracyi nad resztą społeczeństwa. Dlatego też niemcy, z którymi polacy stykają się w Prusiech, są po większej części zakutymi konserwatystami, fanatycznymi czcicielami wszelkiej władzy i wrogami postępu. To samo tyczy się tych praw pruskich, które najbardziej wpływają na ukształtowanie się stosunków społecznych w prowincyach polskich. Taka np. „Ustawa o czeladzi“ pruska, która pozwala (par. 77) bić służbę wiejską i miejską i daje jej prawo skarżenia się tylko w tym wypadku, jeżeli obicie było „niesłuszne“, która zmusza zbiegłego parobka do powrotu na dwór swego pana i do odrobienia pracy zakontraktowanej — jest wprost średniowiecznym, feudalnym dziwolągiem w Europie Zachodniej. A jednak ustawa ta panuje dotąd, jest ściśle przestrzegana i wywiera swój wpływ na olbrzymią część ludności polskiej, przyzwyczajając panów do poczucia swej wszechwładzy nad parobkiem lub dziewką, służbę — do pokory i uległości. Albo weźmy tę słynną szkołę niemiecką, w której nauczyciel ma nieograniczone prawo sieczenia uczni i często wykonywa je w sposób wprost nieludzki, jak tego dowodzą ciągłe procesy o pobicie dzieci.

A armia niemiecka, ze swą żelazną dyscypliną i kolosalną ilością samobójstw! Ayuzuchthausy“ (ciężkie więzienie) z karą cielesną, prawem określoną! Zaiste, żadna z tych instytucyi nie przyczynia się chyba do złagodzenia obyczajów i rozpowszechnienia kultury wśród naszej nieszczęsnej ludności.

A teraz rozpatrzmy, z kogo składa się element niemiecki, zalewający prowincye polskie.

Przedewszystkiem są to urzędnicy, reakcyoniści zdecydowani, w dodatku zaś niezbyt mile do polaków usposobieni. Jak ci urzędnicy prawa wykonywają, to odczuwają na swej skórze zarówno nasi towarzysze, jak i wogóle wszyscy polacy. Kary więzienne za kolportowanie broszur, dozwolonych w języku niemieckim, za najlżejszą częstokroć krytykę postępowania jakiegoś urzędniczyny, pieniężne za odmówienie zeznań w języku niemieckim przed sądem, przeinaczanie imion chrzestnych albo i nazwisk na niemiecką modłę, rozwiązywanie zebrań za mowę polską itd. itd. — wszystko to są nadużycia, których żadne prawo nie sankcyonuje, które jednak ciągle są przez urzędników praktykowane. W dodatku urzędnicy ci, posyłani z wyraźną misyą germanizowania ludności (nazywa się to zwykle „obroną przed polonizacyą“) i spełniający ją tem chętniej, że znajdują poparcie ze strony znacznej części swego społeczeństwa — nie mogliby wywierać dodatniego wpływu na polaków, nawet przy najszczerszych chęciach.

Lecz nie tylko urzędnicy stanowią element reakcyjny, ujemnie wpływający na ludność polską; to samo można powiedzieć o znacznej części osób prywatnych niemieckiego pochodzenia, jeżeli nie o ich większości. Pod wpływem prasy hakatystowskiej, legend, rozsiewanych w szkole i książce o dzikości polaków i niebezpieczeństwie, które grozi z ich strony ojczyznie niemieckiej, niemiec, przybywający do kraju polskiego, wrogo odnosi się do tubylca i pogardza nim. Jeżeli zaś jest to chłop, sprowadzony przez komisyę kolonizacyjną, robotnik lub subjekt, zatrudniony przez hakatystę, wydalającego polaków, by wzmocnić żywioł niemiecki, to zmuszony jest on głośno i publicznie zaznaczać swą nienawiść do ludności miejscowej. Zaś w ostatnich czasach zaczynają mnożyć się coraz bardziej wypadki brutalnego prowokowania polaków, prowokowania, na które polakowi coraz trudniej znaleść zadośćuczynienie.

Nie potrzeba chyba dowodzić, że ludzie, wychowani w podobnej atmosferze, nie tylko nie mogą rozpowszechnić kultury oraz idei wolnościowych wśród ludności polskiej, lecz przeciwnie, szerzą zdziczenie obyczajów i przyczyniają się do zwiększenia ucisku.

Zalew niemiecki jest, przy takich warunkach, jedną z najgłówniejszych przyczyn ucisku politycznego, który panuje w ziemiach polskich Prus. Chociaż prawa są tam te same, co i w prowincyach rdzennie niemieckich, jednak w zastosowaniu wyglądają one zupełnie inaczej, gdyż administracya nie czuje się w obowiązku zwracania uwagi na opinię ludności miejscowej i znajduje zawsze poparcie ze strony władz wyższych, znacznej części kolonistów niemieckich i własnego społeczeństwa. Oczywiście, że każde wzmocnienie elementu niemieckiego w ziemiach polskich pogarsza te stosunki jeszcze bardziej.

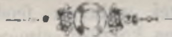
Dodajmy wreszcie, iż prześladowania, którym kościół katolicki podlegał w Prusiech tyle razy, spaczyły zupełnie normalny rozwój myśli w społeczeństwie polskiem. Protestancka burżuazya niemiecka lubi dotąd napadać na obskurantyzm polaków. Zapomina ona, że ten obskurantyzm jest w znacznym stopniu jej dziełem. Szczególnie fatalny wpływ wywarł pod tym względem k u l t u r k a m p f, który rzucił liberałów poznańskich w objęcia kościoła i na długie zapewne czasy wycisnął piętno klerykalizmu na inteligencyi polskiej zaboru pruskiego.

Całe to zło mogłoby być choć w części zneutralizowane przez wpływ uświadomionych robotników niemieckich, rozsianych po zaborze pruskim, gdyby on, niestety, nie redukował się do bardzo drobnych rozmiarów, dla tej prostej przyczyny, że takich robotników jest i będzie zawsze bardzo mało. Robotnik polak jedzie do Niemiec za zarobkiem, ale niemiec rzadko się do Polski wyniesie, jeżeli nie jest sprowadzony przez hakatystę lub przez rząd, w takim zaś wypadku przynosi on nam wszystko, tylko nie socyalizm. A już najrzadziej wybierze się socyaldemokrata do Poznańskiego lub na Szląsk, gdzie zarobki są mniejsze i obchodzenie się gorsze i swobody mniej. Faktem jest, że liczba socyalistów wśród ludności niemieckiej wzrasta bardzo powoli w miastach polskich. Przytem robotnikowi niemieckiemu trudno wpływać na polaków, gdyż nie zna on ani ich języka, ani stosunków miejscowych. To też zwykle socyaldemokraci niemieccy stanowią grupki zamknięte w sobie i prawie żadnego wpływu na ludność okoliczną nie wywierają. Polacy zaś biorą się do socyalizmu dopiero wtedy, gdy zawita do nich agitator polski. G. Szląsk, Poznań, Inowrocław itd. stanowią wymowne przykłady pod tym względem.

Jednem słowem, jeżeli idzie o podniesienie poziomu kultury w rzeczywistem tego słowa znaczeniu oraz rozpowszechnienie idei wolnościowych — to wpływ panowania niemieckiego i działanie germanizacyi na ludność polską były dotąd w najwyższym stopniu szkodliwe.

* *
*

Stosunki są smutne, że nie powiemy okropne. Czy jednak należy wobec tego stracić wszelką nadzieję na polepszenie i kto, oraz przy pomocy jakich środków może je sprowadzić? — nad tem zastanowimy się w przyszłym numerze.



Z PARLAMENTARNEJ POLITYKI SOCYALISTÓW w Austryi

Ostatnie miesiące życia politycznego w Austryi przedstawiają największe zamieszanie, jakie można sobie w parlamentarnie rządzonym kraju przedstawić. Spór narodowościowy, wywołany i później bezmyślnie potęgowany przez prezydenta ministrów hr. Badeniego, przybrał rozmiary wprost zastraszające; zaciekłość mieszczańskich i feodalnych partyi u niemców i czechów przybiera formy coraz bardziej wstrętne, a rząd hr. Badeniego jest wobec tego rozjuszenia bardziej bezsilny, niż przed kilku miesiącami. Punktem środkowym dyskusyi stały się t. zw. „rozporządzenia językowe“ rządu, wydane w kwietniu dla Czech i Moraw; im też, oraz stanowisku wobec nich posłów socyalistycznych w austryackim parlamencie poświęcone będą uwagi poniższe.

W państwie, obejmującem tyle narodowości co Austrya, niema właściwie dotąd ustaw, regulujących sprawy narodowościowe i językowe. Pochodziło to z dwóch przyczyn historycznych. Austrya nie była nigdy państwem, opierającem się o jakąkolwiek narodowość, tak jak np. Francya, Niemcy lub Włochy nowoczesne. Wszystkie prowincye, jakie w ciągu wieków zagarniała dynastya Habsburgów, były albo zdobyte siłą, albo „przyżenione“... To ostatnie jest nawet dla Austryi bardzo charakterystycznem. *Allii bella gerant, tu felix Austria nube!* (niech inni wojny prowadzą, ty Austryo szczęśliwa zawieraj związki małżeńskie). Absolutyzm austryacki do r. 1848 widział swego najstraszniejszego wroga w zasadzie narodowości. Stosowało się zaś to do niemców zarówno, jak i do słowian lub włochów.

Po nadaniu konstycyi w r. 1867 stali się niemcy, jako najliczniejsi i najbardziej ekonomicznie rozwinięci, głównym czynnikiem w życiu konstytucyjnem państwa i oni to znów nadali całej polityce parlamentu owo piętno bezsilnego liberalizmu, który nigdy nie umiał się liczyć z potrzebami narodowemi, ludów zamieszkujących Austryę. Szablon kapitalistyczny miał rządzić Austryą, jakby to był jakiś naród jednolity, a nie zlepek różnych kultur, ba różnych cywilizacyi!

Tak więc i podczas absolutyzmu i za czasów konstytucyi była niemieckość wszechwładną w Austryi. Od r. 1880 przeważa się jednak szala wpływów politycznych na stronę słowian. Szlachta polska, staroczesi, feodali wszystkich odcieni i klerykali stanęli jako „żelazny pierścień“ rządowy przeciw niemieckim liberałom, którzy odtąd zbliżają się do zupełnej ruiny, zakończonej haniebną śmiercią liberalnej „lewicy“ niemieckiej po upadku „koalicyi“ z r. 1895.

Przyczyną główną ruiny liberałów było to, że popierali oni właściwie najgorliwiej rządowo klerykalną *reakcyę*, która dzisiaj chce wreszcie bezwzględnie objąć rządy Austryi.

Z góry też było wiadomem, że wybory wiosenne dadzą większość reakcyjną z odcieniem feodalnym i klerykalno-antysemickim. Większość ta jednak dopiero wtedy była możliwą, gdyby rządowi udało się pozyskać dla siebie partyę *młodoczechów*.

Dla bliższego wyjaśnienia sytuacyi przy otwarciu tegorocznego parlamentu należy zważyć, że w tym parlamencie istnieje 26 frakcyi o różnych programach!

Większość hr. Badeniego mogła się złożyć z następujących żywiołów: koło polskie (61 posłów), klerykali i feodały (56), młodoczesi (62), chrześciański klub słoweńców wraz z 6 rządowymi rusinami (31), rumuni (6), centrum (6) i kilku „dzikich“. Po drugiej stronie stały wszystkie partye niemieckie, spośród których antysemici rozpoczęli odrazu najhaniebniejszą, zakulisową szacherkę z rzadem, włosi (19), rusini opozycyjni (3), „ludowcy“ (3), stojałowczycy (6), i *socyalni demokraci* (14).

Większość hr. Badeniego mogła mieć dwie kombinacye: pierwszą, podobną do „koalicyi“, pogrzebanej w r. 1895. Zamiast 62 młodoczechów figurowałoby tutaj tyleż liberałów niemieckich, poprzebieranych teraz w różne popularniejsze nazwy „ludowych“ partyi. Wówczas jednak młodoczesi znaleźliby się w opozycyi. Druga kombinacya obejmowała młodoczechów, a wykluczała znów niemców. Hr. Badeni był początkowo za sojuszem z liberałami i czuć w tem było wzorowego ministra austryackiego, który chciał mieć w swych rękach tak znakomitych mameluków, jakimi zawsze byli liberali. Ale kombinacye te rozbiły się o klerykałów, którzy chcieli teraz właśnie wystąpić ze *szkołą wyznaniową*, swojem dawnem marzeniem...

Targi zakulisowe trwały przez dni kilka, a dnia 1 kwietnia podał się hr. Badeni do dymisyi, nie mając żadnej faktycznie większości w parlamencie. Wtedy to wzięto się do drugiej kombinacyi : feodalno klerykalno młodoczeskiej, a ceną tej większości miały się stać *rozporządzenia językowe*. Jakoż dnia 5 kwietnia opublikowano w urzędowej „Gazecie wiedeńskiej" treść rozporządzenia ministeryalnego dla Czech, a 20 kwietnia dla Moraw i czesi poszli odrazu na służbę rządu.

Istotą obu rozporządzeń było zaprowadzenie zupełnego równouprawnienia języka czeskiego z niemieckim w urzędach.

Bliżej rozejrzawszy się w skutkach rozporządzeń, widzimy, że jest to raczej kwestya *urzędników*, którzy mieli być odtąd biegli w obu językach, czyli, że jest to wykluczenie urzędników niemieckich z innych prowincyi od służby w Czechach. Na podanie, wniesione po czesku, musi urząd w tymże języku odpowiedzieć, rozprawy sądowe, księgi gruntowe itd. muszą być prowadzone w języku strony, odnoszącej się do urzędu. Zasada zatem rozporządzeń językowych jest zupełnie słuszną. Swoją drogą trafiałoby *wykonanie* tych rozporządzeń na ciężkie przeszkody, bo w Czechach istnieje zwarty teren czysto niemiecki, na którym nie ma nawet 2% czechów. Znaczna liczba niemieckich powiatów niema nawet % czeskiej ludności, tak, że język czeski w urzędzie byłby nader rzadko używany. Dla urzędników więc niemieckich w tych okręgach byłoby wykonanie rozporządzeń pewnego rodzaju szykaną.

Rozporządzenia językowe, w takich warunkach wydane, wywołały najzacieklejszą opozycyę niemiecką, jaką Austrya kiedykolwiek widziała. Najpierw gniewało niemców, że w sprawie, dotykającej także ich stosunków narodowościowych, nie zapytano się nawet o zdanie. Oczywiście, że w tym zgiełku opozycyjnym najgłośniej krzyczeli szowinistyczni „teutoni", zgromadzeni około bismarkowca v. Schönerera. Natomiast młodoczesi, jakby zapłaceni w tym zakulisowym targu, poszli najbardziej bezwstydnie w służbę rządu, o czem poniżej.

Socyalni demokraci odczuli odrazu, że rządowi nie chodzi bynajmniej o wyrównanie sporów narodowościowych, lecz o wybrnięcie z chwilowego kłopotu wobec braku większości. potrzebnej dla przeprowadzenia ugody węgierskiej, stojącej w tym roku na porządku dziennym polityki austryackiej. Wiedzieli oni, jak każdy nieuprzedzony człowiek, że sprawy *narodowościowe* należą do tych najdrażliwszych spraw, w których trzeba zgody wszystkich interesowanych, że zatem każdy, kto chce w Austryi uchylenia wiecznych wybuchów szowinizmu narodowościowego, musi wstąpić nie na drogę zakulisowych szacherek gabinetu z poszczególnymi menerami, lecz przeciwnie załatwić te trudności w pełnem świetle parlamentarnej dyskusyi, za pomocą *ustawy językowej*. Tylko ugoda między *narodami* zawarta, może mieć cechy sprawiedliwe i uniemożliwić dalsze kłótnie. W tym duchu też postawili w parlamencie wniosek o wybranie komisyi z 48 członków, która by wypracowała ustawę językową dla *całej* Austryi w duchu równouprawnienia wszystkich narodowości i ochrony mniejszości językowych w poszczególnych prowincyach. Pokazało się też wkrótce, że jest to nawet dla rządu *jedyna* droga wyjścia w razie, gdyby walka narodowościowa wybuchła z niezwykłą siłą. Tutaj odrazu zaznaczymy, że hr. Badeni, który z początku tak hardo upierał się przy tem, jakoby rząd miał zasadnicze prawo rozstrzygania sporów narodowościowych za pomocą ministeryalnych ukazów, — potem, kiedy zaczynało być krucho... oświadczył w Izbie panów, że nie ma nic przeciwko temu, aby parlament uchwalił ustawę językową. Po zamknięciu zaś sesyi „Fremdenblatt", organ rządowy, kilkakrotnie to samo powtarzał. Tak więc wniosek zasadniczy socyalnych demokratów okazał się jedynie logiczny.

Ale w swej mowie, broniącej rozporządzeń językowych, powoływał się prezydent ministrów na pierwotne (primär) prawo egzekutywy i ani myślał poddać się uchwałom parlamentu.

W ten sposób została cała sprawa postawiona przez rząd na stanowisku, na którem chodziło o walkę legislatywy z gabinetem. Tu już dla socyalistów była tylko jedna droga wyjścia : obalenia rządu, który wobec ludu był wprost *wrogim*.

Świeżo w pamięci socyalistów tkwiły mianowicie dwie sprawy : *krwawe wybory galicyjskie* i rozporządzenie ministeryalne, rozwiązujące przed zaledwie kilku tygodniami potężną *organizacyę kolejarzy*, obejmującą około 27.000 zorganizowanych urzędników i robotników kolejowych.

Przy wielkiej debacie nad wyborami galicyjskimi okazali młodoczesi całą nikczemność kupionej przez rząd wielkiej partyi. Posłowie Herold i Stransky prześcigali się w najbardziej bezwstydnych atakach na socyalnych demokratów, wnoszących straszne oskarżenia o mordy i więzienie chłopów galicyjskich; cynizm młodoczechów dosięgnął szczytu, kiedy oklaskiwali niepoczytalnego hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, gdy ten przestrzegał parlament przed „słabością" wobec tego pogwałcenia prawa! Odrazu poznano w parlamencie skutki rozporządzeń... Toż samo powtórzyło się przy debacie, wszczętej przez socyalistów nad rozwiązaniem bezprawnem organizacyi kolejarzy. I tutaj dr. Kaizl znalazł się jak najlichszy sługa rządu.

Poseł socyalnodemokratyczny, który by w tych warunkach rezygnował z prawa parlamentu na rzecz gabinetu ministeryum hr. Badeniego, byłby wprost zjawiskiem niezrozumiałem. To też jakkolwiek przykre było dla socyalistów sąsiedztwo liberałów niemieckich, musieli oni zwalczać gabinet za wszelką cenę. Toż na tem samem prawie rozporządzeń ministeryalnych zrujnował rząd największą robotniczą organizacyę wbrew ustawie. Toż milczące nawet przyzwolenie, aby rządowe rozporządzenia starczyły za uchwały parlamentu, wydawałoby na łup samowoli rządowej całą organizacyę partyjną socyalnej demokracyi! Ta sama partya, która najwięcej ucierpiała pod rządami policyjnymi, miała wzmacniać jeszcze te rządy na polu, gdzie parlament powinien był strzedz czujnie swego prawa ustawowego?

A przecież pomimo tak zaostrzonych stosunków, pośród najzaciętszej walki z feodałami, chcącymi osłabić parlament na korzyść sejmów, gdzie oni mieli zupełną, niepodzielną władzę, oświadczają socyalni demokraci wyraźnie, że nie są centralistami, że będą po stronie autonomii i federalizmu skoro tylko ta autonomia i ten federalizm staną się udziałem *ludów*, a nie historycznej drapieżnej szlachty i złączonej z nią burżuazyi.

Przytoczę wyjątki z parlamentarnych deklaracyi związku socyalnodemokratycznego :

„W myśl naszego programu stoimy pod każdym względem na gruncie pełnej sprawiedliwości, jesteśmy zatem i pod względem narodowym za zupełnem równouprawnieniem".

„... W końcu zastrzegamy się w sposób najbardziej stanowczy przeciwko temu, co poseł Wolf z powołaniem się jakoby na wszystkich niemców w Austryi powiedział, jakoby wszystkie nieniemieckie narody w Austryi były „upośledzone" („minderwertig"). Chociaż stopnie kulturalne, osiągnięte przez różne narodowości, są różne, to jednak jest to naszem zdaniem szkodliwą pychą, gdy jeden naród wywyższa się w taki sposób ponad inne, zamiesz-

kujące to samo państwo. Powoływanie się na historyczne przywileje niemców w Austryi jest zupełnie tem samem, co i powoływanie się młodoczechów na stare czeskie prawo państwowe; musimy przeciwko obojgu najbardziej stanowczo zaprotestować".

A w debacie adresowej oświadcza związek:

„Co do pytań prawnopaństwowych, ciągle wznawianych, stoimy, my, socyaldemokraci, na stanowisku najdalej idącego samorządu. Nie obawiamy się wcale zagrożenia tem związku państwowego, potrzebnego z powodów ekonomicznego rozwoju. Wiemy dobrze, że najbardziej stanowczy zwolennicy prawa państwowego (np. czeskiego p. a.) będą się strzegli zrywać węzły, dające dla ich przemysłu najważniejsze rynki zbytu. Ogłaszając się autonomistami, jesteśmy nimi przedewszystkiem na *demokratycznej podstawie*"...

Na każdym kroku wyjaśniali socyalni demokraci, jak pojmują autonomię i federalizm, a ich kongres ogólny w Wiedniu, podczas Zielonych świąt odbyty, będzie wymownym dowodem, że ich autonomistyczne zasady nie były wcale frazesem. Na tym to kongresie uchwalono, że socyalna demokracya w Austryi ma być zorganizowana w ramach zupełnie równorzędnych, niezależnych partyi narodowych, złączonych ze sobą tylko wspólnym kongresem i wspólną egzekutywą, składających się z członków wybranych przez narodowe coroczne kongresy. W ten sposób zatarto wszelki ślad przewagi jednego narodu nad drugim i dokonano tego, czem *żadna* partya w Austryi poszczycić się nie może.

Tych historycznych faktów nie zdołają zagłuszyć żadne obłudne głosy stańczykowskiej prasy, która nagle stała się nadzwyczaj patryotyczną i zaczęła głosić, że rząd hr. Badeniego chce dać pełną autonomię narodom słowiańskim w Austryi.

Rozporządzenia językowe miały być niby pierwszym krokiem na tej drodze...

Dawno już nie widzieliśmy w Polsce podobnej komedyi publicystycznej, rozgrywanej na korzyść ministeryum, złożonego z najzaciętszych przeciwników wolności ludów. Warto też przyjrzeć się poszczególnym ustępom tej komedyi. Możnaby je umieścić pod nagłówkami:

Słowianofilstwo, Idea jagiellońska, Autonomia.

Słowianofilstwo miało się stać nagle wyrazem polityki rządowej. To samo Koło polskie, które gnębiło zaciekle młodoczechów, kiedy ci byli jeszcze radykalną demokratyczną opozycyą, nagle spostrzegło, że konwenansowy moskalofilizm czechów nie przeszkadza wcale sojuszowi z nimi. Prasa gadzinowa Galicyi (t. j. na 10 pism codziennych ośm!) zaczęła się bawić w szczególnego rodzaju panslawizm, z którym jej jednak wcale nie było do twarzy... Jeszcze przed trzema laty uzasadniał poseł Szczepanowski imieniem Koła konieczność stanu oblężenia w Pradze, a teraz nagle mieli polacy stać się szermierzami czeskiego prawa państwowego, oddającego 200.000 szląskich polaków na łup aroganckiej, zachłannej czechizacyi! Ci sami dziennikarze, którzy lata całe z taką szlachecką dumą patrzyli na „chłopskie" narody słowiańskie Austryi, teraz udawali, że słowianizm jest alfą i omegą ich polityki. Bankiet we Lwowie na cześć czeskiej śpiewaczki p. Laudowej dał sposobność arystokratycznym próżniakom i graczom kasyna końskiego do wychylenia toastów na pomyślność „braci słowian", drugi bankiet większości parlamentarnej, w Wiedniu urządzony, połączył najzacieklejszych feodałów z młodoczechami, którzy okazali się wcale dobrymi parobkami rządu, bo innego miana ta arogancka, cyniczna i perfidna partya nie zasłużyła.

Najciekawszą rzeczą, że błogosławieństwa tej spółce „słowiańskiej" udzielił niemiecki *klerykalizm* najciemniejszej, najbardziej *beznarodowej* barwy! Austrya więc miała się „odrodzić" pod wpływem skrwawionej wyborami szlachty galicyjskiej, klerykałów, feodałów czeskich i rządowych młodoczechów z dodatkiem partyi „chrześciańsko-słowiańskiej", mieszczącej w sobie fanatycznych księży słoweńskich i sześciu upaństwowionych rusinów z Galicyi.

Aby zaś polaków zaanimować do tego szczególnego „odrodzenia", rozpuszczono tajemnicze pogłoski, że chodzi o przebudowę Austryi na gruncie „indywidualizmów historycznych"... Na wzór czeskiego prawa państwowego miało się coś podobnego wszędzie tworzyć, przyczem polacy nie byliby wcale w kłopocie, bo im opatrzność zesłała była przewódcę w osobie hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, noszącego w swem łonie od lat wielu „ideę jagiellońską", t. j. wskrzeszenie w Polsce prawodawstwa polskiego z czasów Jagiellonów. Chodziło tymczasem jednak o Galicyę, która reprezentuje zaledwie cząstkę *Polski* i której historyczna proweniencya spoczywa nie na czem innem, jeno na *zbrodni* politycznej, dokonanej przed wiekiem na Polsce przez trzy państwa zaborcze. Dla polaka w Galicyi miało być teraz czeskie pojęcie „indywidualności historycznej" czyli wyraźniej mówiąc: „Królestwo Galicyi i Lodomeryi" czemś nad wyraz świętem i nietykalnem. Dziwnym trafem nie mówiono nic o polakach na Szląsku... Ten humbug historyczny miał ludzi rozentuzyazmować! A równocześnie prowadzi się na wielką skalę *ugodę z carem*, zbiera się ogromne fundusze na carskie instytucye. Kiedy socyaliści bardzo energicznie zaprotestowali przeciwko owej sławetnej „idei jagiellońskiej", nazwano ich poprostu zdrajcami ojczyzny. Wierzyć się nie chce, a przecież ta komedya rozgrywała się przed naszemi oczyma i będzie grasowała tak długo, dopóki hr. Badeni znów nie zacznie szachrować z liberałami niemieckimi, do czego zresztą okazuje ciągle jawną i nietajoną wcale ochotę.

Z chwilowego kłopotu rządowego zrobiono coś epokowego. Austrya miała się wreszcie stać państwem federalistycznem, autonomicznie rządzonem. W tym celu proponowano oczywiście najpierw *osłabienie parlamentu* a przekazanie najważniejszych jego czynności sejmom krajowym. Otóż nie tylko socyaliści, ale i wszelkie, w mniejszości będące partye ludowe, musiały w tem widzieć groźbę najszaleńszej reakcyi. Skoro bowiem np. sejm lwowski miałby się stać właściwem ciałem ustawodawczem, to trzebaby było zastanowić się raz nad jego składem. Instytucya ta mieści w sobie $^4/_5$ posłów szlacheckich, pochodzących nie tylko z niesprawiedliwych wyborów kuryalnych (kurya chłopska, szlachecka i miejska), ale nadto wybory te są pośrednie i jawne. O powszechnem prawie wyborczem niema oczywiście nawet mowy. Nadto siedzą w sejmie wszyscy biskupi i arcybiskupi na mocy prostego przywileju. Tymczasem cała uboga ludność miejska i wiejska jest od wyborów do sejmu *wykluczoną!* Jakże można było od ludu wymagać, aby zapalił się do samorządu, skoro ten lud z góry był od wszelkiego współudziału w tym „samo"—rządzie wykluczony. Nadto cała historya galicyjskiego sejmu wskazuje, że większość jego to żywioły tak wsteczne, że nieraz parlament wiedeński okazywał się „zbawcą" wobec tych samolubnych szlachciców, odmawiających ludowi najdrobniejszych praw obywatelskich. Osłabienie parlamentu zaś równałoby się w tych warunkach niesłychanemu wzmożeniu się *rządu centralnego*, który zwolniony w przeważnej części od odpowiedzialności parlamentarnej grałby rolę nadzorcy wszystkich sejmów krajowych, skazanych i tak na kłótnie narodowościo-

we i szalone zapędy klerykałów do owładnięcia rządem i szkołą.

Zupełnie słusznie odpowiedzieli też na to socyaliści, że chodzi raczej o osłabienie *rządu* centralnego, o uczynienie rządów krajowych odpowiedzialnymi przed sejmami, a wreszcie — i to jest najważniejsze — zrobienie samorządu czemś przystępnem dla narodu, t. j. reformę wyborczą, zagwarantowanie wolności prasy, zgromadzeń, stowarzyszeń, reformę gminna itd. Nikt przecież nie oddałby się dobrowolnie na łup galicyjskich magnatów i sfory dorobkiewiczów z wątpliwem często szlachectwem, którzy w imię „ideałów“ narodowych chętnie by chłopa pod bat ekonomski postawili a robotników skrępowaliby za pomocą „narodowej“ policyi, która już i dzisiaj zaczyna być bardzo patryotyczną... Autonomia, jako udział ludu w rządach kraju, powiatu i gminy, mogłaby politykom galicyjskim posłużyć za hasło, które zelektryzowałoby cały naród bez różnicy partyi; plany jednak reakcyonistów, dążące do zgniecenia ruchu robotniczego i chłopskiego, za pomocą odebrania masom ludowym nawet tak skromnego wpływu, jaki zdołano uzyskać za pomocą V kuryi, te plany nikogo, oprócz przerażonych szlachciców i garści miejskich lichwiarzy, nie porwą za sobą.

Wiadomo przecież, że Koło polskie nie może swojemu panu, hr. Badeniemu darować wprowadzenia V kuryi, wiadomo także, iż po wyborach pewne koła szlacheckie były srodze zagniewane na rząd, z powodu że nie użyto jeszcze większego teroryzmu, że pozwolono na wybór 11 posłów opozycyjnych, którzy do Koła polskiego nie wstąpili i złamali w ten sposób wszechwładzę stańczyków. Za mało było tym ludziom 9 zabitych, 29 ciężko poranionych chłopów i robotników, a 800 uwięzionych...

Rozbite Koło polskie pragnie swoją klęskę powetować we Lwowie. Zrozumiałe to dążenie zagrożonej szlachty nie liczy się jednak z koniecznościami historycznemi, a do tych należy przedewszystkiem uwzględnianie potrzeb ludowych mas, które coraz bardziej organizują się w potęgę polityczną. Im bardziej z temi potrzebami będzie się liczył parlament, tem więcej będą musiały swobód dawać ludowi sejmy, aby wpływ parlamentu podkopać. Skoro zaś sejmy pozostaną i nadal siedliskami dzikiej reakcyi, traktującej robotnika i chłopa, jako nieistniejące ilości, wówczas okaże się, że lud będzie patrzył na nie z lekceważeniem, lub nawet wrogo i nie uczyni niczego dla pomnożenia ich władzy. Najlepszym przyjacielem autonomii byłby człowiek, któryby w sejmie podjął akcyę w kierunku reformy wyborczej i wogóle reform skrajnie demokratycznych, liczących się z masą zupełnie zubożałych chłopów i robotników miejskich. Ale któż odważyłby się dzisiaj o czemś podobnem marzyć, przy obecnym składzie sejmu.

Starałem się w najbardziej zwięzły sposób scharakteryzować zagadnienia polityki bieżącej w Austryi i naszkicować stanowisko „Związku socyalnodemokratycznego“ w parlamencie wiedeńskim. Nie chodziło mi wcale o historyczny przebieg wypadków, a raczej o to, aby czytelnikowi, informowanemu przez gazety niesocyalistyczne, przedstawić te zagadnienia z punktu widzenia socyalistycznej polityki.

Dzisiaj już dla każdego jest jasną rzeczą, że hr. Badeni nie jest żadnym „słowiańskim“ Konradem Wallenrodem, a jego rozporządzenia nie są rozwiązaniem sporu czesko-niemieckiego. Dzisiaj też łatwiej inteligentniejszemu nieco czytelnikowi otrząsnąć się z owej ogromnej fali blag politycznych, które prasa młodoczeska i galicyjska puściła w obieg, aby dopomódz hr. Badeniemu w jego kłopotach rządzenia, a równocześnie użyć naporu narodowości słowiańskich do celów feodalnej i klerykalnej reakcyi.

Dzisiaj też łatwiej zrozumieć politykę socyalistów czeskich, polskich i niemieckich, zwalczających w pierwszym szeregu tę reakcyę i usiłujących pojęcia autonomii i federalizmu przesadzić tam, gdzie jedynie mogą przynieść pożytek, t. j. na pole demokracyi i żywotnych interesów mas ludowych.

Ignacy Daszyński.

SPRAWA GIMNAZYUM CIESZYŃSKIEGO

Pisma burżuazyjne tyle kłamstw rozpowszechniły w ostatnich czasach o sprawie gimnazyum cieszyńskiego, zwłaszcza zaś o roli, jaką odegrali nasi towarzysze przy tej sposobności, że musimy wyświetlić rzeczywisty stan rzeczy.

Czytelnicy nasi mają dość dokładne pojęcie o stosunkach szląskich z wyczerpujących bardzo artykułów tow. Kresowca z r. 1895. Wiedzą oni, iż cała agitacya za gimnazyum polskiem prowadzona była w najwyższy sposób niedbale, że nie potrafiła ona wcale poruszyć szerokich mas ludowych i stworzyć siły, która by zmusiła rząd do wyrzeczenia się germanizacyi Szląska, prowadzonej dotąd niezmordowanie, że agitacya ta ograniczała się prawie wyłącznie na zbieraniu składek we wszystkich ziemiach polskich, zwłaszcza w zaborze rosyjskim i służyła ks. Świeżemu oraz jego przyjaciołom za pawie piórka patryotyzmu, którymi oni pokrywali swoje niedołęstwo polityczne i strach przed reformami ludowemi.

W ostatnich czasach stosunki te nie zmieniły się bynajmniej, ale wystąpił na scenę nowy czynnik — partya socyalistyczna. Zarówno we Lwowie i Krakowie, jak i w Cieszynie socyaliści stanowią znaczną większość ludności. Bez ich pomocy żadna poważniejsza demonstracya polityczna udać się nie może, słuszne zatem, że przychodząc na zebrania, zorganizowane przez inne partye i przyczyniając się do ich uświetnienia, żądają oni głosu, by wypowiedzieć się w danej sprawie. Jest to rzecz, zdawałoby się, całkiem naturalna i, ze względu na stosunki zaboru austryackiego, nieodzowna. Tyle tam trzeba obalić zastarzałych urządzeń, w tylu wypadkach interes robotnika zlewa się z interesem włościanina, rzemieślnika, a nawet mieszczanina zamożniejszego w czasie walki z rządem, szlachtą i finansistami, że współdziałanie różnych partyi narzuca się wprost. Trzeba tylko, żeby partye niesocyalistyczne potrafiły uszanować odrębne przekonania naszych towarzyszy i szczerze myślały o reformach, które wypisane są na ich sztandarach. Otóż tego ostatniego zwykle brak zarówno w Galicyi, jak i na Szląsku.

Sprawa gimnazyum przedstawia się obecnie tak, że Badeni, za pośrednictwem swego podwładnego ministra oświaty, barona Gautscha, odmówił gimnazyum cieszyńskiemu prawa wydawania dyplomów, równoznacznych z dyplomami rządowymi. Uczynił to, łamiąc obietnicę, daną posłowi Danielakowi (co prawda, o tej obietnicy mówi tylko p. Danielak a źródło to nienajpewniejsze) i zdzierając z siebie szatę słowianofilstwa, w którą przybrał się był w Czechach. Ba, tu już nawet nie o słowianofilstwo szło, ale o zadośćuczynienie najprostszym wymaganiom sprawiedliwości względem szlązaków, którym należy się chyba jedno gimnazyum polskie (na 8 niemieckich, służących dla 40 tysięcy ludności).

Koło polskie, jak zwykle, ograniczyło się na bolesnem stęknięciu, i popiera Badeniego w dalszym ciągu. Wtedy ks. Świeży i inni matadorzy ruchu szląskiego postanowili jednak zwrócić się do ludu i zwołali wiec masowy do Cieszyna na dzień 1 sierpnia.

Poprzednio zaś odbyła się pewna agitacya w Galicyi. We Lwowie (27 lipca) i Krakowie (30 lipca) odbyły się olbrzymie zgromadzenia, rady miejskie obu tych miast uchwaliły założyć po 10 stypendyi dla uczniów gimnazyum cieszyńskiego, inne rady wystąpiły z petycyami, datkami pieniężnymi itd.

Zarówno w wiecu lwowskim, jak i w krakowskim socyaliści wzięli udział. We Lwowie Mokłowski zaznaczył klasowy charakter walki, jaka toczy się na Szląsku — walki robotników polskich z fabrykantami niemieckimi, a Żelaszkiewicz zapytał ironicznie ludowców, co się dzieje z uchwaloną przez nich solidarnością z Kołem polskiem w sprawach „ogólno narodowych", gdy Koło staje, jak dzisiaj, wyraźnie na stanowisku antynarodowem? W Krakowie olbrzymia większość obecnych na zgromadzeniu składała się z socyalistów, co jest naturalne w mieście, w którem na czterech wyborców trzech jest socyalistów. Organizatorów wiecu to przeraziło; zaczęli od tego, że nie dopuścili do wyboru przewodniczącego który byłby bez wątpienia socyalistą, ale zagaili zebranie i natychmiast udzielili głosu jednemu ze swoich. Towarzysze nasi zaprotestowali przeciwko temu, ale, nie chcąc rozbijać zebrania, ograniczyli się na tem. Po mówcy burżuazyjnym zabrał głos Misiołek, który w wymownych słowach napiętnował hypokryzyę patryotów, popierających z jednej strony na gębę gimnazyum w Cieszynie, z drugiej zaś — Koło polskie, które zdradziło je haniebnie. Mówca nasz przypomniał, iż gimnazyum cieszyńskie założone zostało, podczas gdy Madejski był ministrem oświaty, tymczasem ten „minister rodak" tak samo nic dlań nie zrobił, jak obskurant i germanizator Gautsch. Wreszcie socyaliści postawili dwie rezolucye dodatkowe; organizatorowie wiecu wyrażali w swych rezolucyach tylko przekonanie, że Koło polskie energiczniej, niż dotąd (sic!) poprze sprawę gimnazyum", socyalistyczna rezolucya wyrażała wotum nieufności Badeniemu i wzywała wszystkich posłów, którzy sprzyjają sprawie gimnazyum, by wystąpili z Koła. Rezolucya ta została przyjęta burzą oklasków.

Tu okazała się cała zła wiara naszych mieszczuchów: gdy przyszło do głosowania, zwrócono uwagę przewodniczącemu, że rezolucya socyalistyczna dalej idzie, ją zatem należy wprzódy poddać pod głosowanie. Przewodniczący odpowiada, iż komisarz sprzeciwia się jej odczytaniu. Na to autor rezolucyi, tow. dr. Marek oświadcza, że chce ułatwić przyjęcie rezolucyi komitetu organizacyjnego, dlatego ustępuje pierwszeństwa. Organizatorzy dziękują mu ostentacyjnie, poddają pod głosowanie swe rezolucye, potem zaś... oświadczają, że komisarz sprzeciwia się głosowaniu nad wnioskami socyalistycznymi i chcą zamknąć zgromadzenie. Na to wstał Marek, przeczytał głośno rezolucye, wezwał obecnych do głosowania i skonstatował olbrzymią większość. Tak postępują nasi przeciwnicy nawet tam, gdzie zmuszeni zostali przyznać nam równe z resztą ludności prawa polityczne.

Przyszedł dzień 1 sierpnia, na który naznaczony został olbrzymi wiec ludowy w Cieszynie, dla zaprotestowania przeciwko odmówieniu prawa publiczności gimnazyum polskiemu. Organizatorem zebrania był ks. Świeży. Z towarzyszami naszymi prowadzone były pertraktacye, które zakończyły się uroczystem zobowiązaniem się (słowem honoru!) ks. Świeżego, że przewodniczący zostanie wybrany, a mówcy socyalistyczni dopuszczeni do głosu i że będą oni mogli postawić i uzasadnić swą rezolucyę. Dzień zapowiadał się bardzo imponująco.

W dniu zebrania od rana tłumy ludu płynęły do Cieszyna. Górnicy socyalistyczni z oznakami czerwonemi, chłopi szląscy, liczni goście z Galicyi i nawet Szląska pruskiego zjeżdżali się kolejami, lub ciągnęli pieszo. Z posłów socyalistycznych przybyli Kozakiewicz i Cingr. „Demokraci" stawili się w komplecie — zapewne, by powetować sobie czas, który zmarnowali w Wiedniu. Obecnych było 10 — 12 tysięcy ludzi, którzy zeszli się wszyscy na łączce prywatnej za miastem, gdyż żadna sala nie byłaby w stanie ich pomieścić.

Zanim jeszcze zebranie zostało otwarte, przykro uderzały każdego kolory austryackie (czarny i żółty), którymi ozdobiona była mównica oraz olbrzymi biust cesarza, postawiony tam, jakby na urągowisko. Ale gdy rozpoczęły się mowy, wtedy dopiero okazało się, że pp. Świeży, Michejda et C° nic nie zapomnieli ze swego dawnego odnoszenia się do robotników, ale też niczego się nie nauczyli. Oto ks. Świeży, idąc w ślady wiecowników krakowskich, udziela odrazu głosu p. Michejdzie, jakby był przewodniczącym „z urzędu". Tego nasi towarzysze nie mogli dopuścić — zaczęli zatem domagać się głośno wyboru; parę chwil trwało zamieszanie, ale nareszcie klika organizatorów zobaczyła, że musi ustąpić; wybrani zostali do prezydyum tow. Englisz z Krakowa i ks. Świeży. Rzecz oczywista, że wypadek ten roznamiętnił obecnych, to też podczas rozwlekłej i bladej przemowy Michejdy ze strony robotników nieraz dawały się słyszeć mruczenia, a nawet okrzyki. Swoją drogą dali mu oni przeczytać rezolucye, które, nawiasem mówiąc, nawet Nowej Reformie wydają się zbyt blademi.

Stosownie do umowy z ks. Świeżym po Michejdzie miał przemawiać Tadeusz Reger, znany agitator szląski i redaktor „Równości". Tymczasem, gdy tenże zażądał głosu, natychmiast podniósł się krzyk nie do opisania, zaś przewodniczący nie chciał mu pozwolić mówić. Naprózno nasz towarzysz przystał na żądanie organizatorów („narodowców", jak ich tam nazywają, w rzeczywistości zaś po prostu klerykałów) i dał słowo, że przemawiać będzie *za* rezolucyą — ks. Świeżemu to nie wystarczyło. Namiętny ten starzec nie może się widocznie pogodzić z myślą, by socyalista obok niego przemawiał, to też wolał on wystawić całą sprawę na szwank i, by nie udzielić głosu Regerowi, *wiec rozwiązał.*

Takie postępowanie wprawiło w osłupienie nawet komisarza policyjnego, który nie uważał wcale za potrzebne rozwiązywać wiec. Można sobie wyobrazić, jak ono oburzyło zgromadzonych. Gdyby nie wdanie się Regera, Cingra i Kozakiewicza, oburzony tłum napewno rzuciłby się na Świeżego. Skończyło się na tem, że zarówno „narodowcy", jak socyaliści wrócili do miasta.

Rozwiązanie wiecu i niedopuszczenie do głosu socyalistów było nie tylko dowodem nietolerancyi ze strony „narodowców", ale i olbrzymiem głupstwem politycznem. Przedewszystkiem zmniejszyli oni znaczenie demonstracyi, która właściwie spełzła na niczem, gdyż nawet rezolucye nie zostały uchwalone. Powtóre uniemożebnili oni wypowiedzenia się przedstawicielom robotników niemieckich, którzy chcieli złożyć uroczystą deklaracyę, że w sprawie gimnazyum potępiają postępowanie rządu i nie solidaryzują się bynajmniej ze swą burżuazyą. Taka deklaracya miałaby ogromne znaczenie polityczne; pokazałaby ona, że polityka ucisku i germanizacyi ma za sobą na Szląsku tylko garść hakatystowskiej, prusofilskiej burżuazyi.

Prasa galicyjska usiłowała rzecz całą przedstawić w fałszywem świetle — jakoby socyaliści przyszli umyślnie w celu rozbicia zgromadzenia. Przed kilku laty może udałoby jej się to. Dziś, gdy posiadamy w samym zaborze austryackim 8 pism, nie jest to możebne.

Wiec cieszyński pokazał jeszcze raz, że w zaborze austryackim żadna akcya polityczna ludowa nie może być prowadzona bez udziału socyalistów, a tem bardziej wbrew ich woli.

ZJAZD MIĘDZYNARODOWY

DLA PRAWODAWSTWA O PRACY

Za inicyatywą szwajcarskich organizacyi robotniczych odbył się w Zurychu zjazd międzynarodowy zwolenników i szermierzy prawodawstwa robotniczego. Obradował od 23 do 28 sierpnia b. r.

Zjazd ten nie miał charakteru partyjnego, jak międzynarodowe kongresy socyalistyczne. Mogli w nim brać udział członkowie wszelkich partyi politycznych, wyznawcy wszelkich poglądów naukowych, religijnych i filozoficznych — byle by zgadzali się na zasadniczą ideę kongresu : na konieczność ograniczenia przez państwo kapitalistycznego prawa ,,używania i nadużywania“ siły roboczej.

Trudno było przewidzieć, czy zjazd tego rodzaju doprowadzi do pożądanych wyników, — boć mieli się na nim połączyć we wspólnych obradach ludzie, którzy zwalczają się ciągle, nieraz namiętnie, w codziennem życiu politycznem, którzy wychodzą w działalności swej z różnych, nieraz biegunowo przeciwnych założeń. Obrady zjazdu rozwiały tę obawę : przebieg jego był wzorowy, a powzięte na nim uchwały czynią zadość temu, czego od prawodawstwa ochronnego wymagać należy.

Powodzenie kongresu pod względem formalnym, zewnętrznym gwarantowała wzorowa gospodarka komitetu organizacyjnego. Mianował on biuro zjazdu, składające się z prezesa (radca kantonalny Henryk Scherrer z St. Gallen), dwóch wice-prezesów (członkowie Rady narodowej : Decurtius i Sourbeck), sekretarza generalnego (Herman Greulich) i całego sztabu sekretarzy i tłómaczy. Zerwano w ten sposób z tradycyą wybierania przewodniczących o jednodniowem życiu, co musiało dodatnio wpłynąć na porządek i energię w prowadzeniu obrad. Zauważyć jeszcze trzeba, że biuro składało się z samych szwajcarów, jako gospodarzy (referentami byli też wyłącznie szwajcarzy). I to okazało się bardzo skutecznem, gdyż z jednej strony szwajcarzy odznaczają się dużym talentem organizacyjnym, z drugiej zaś — dzięki szczególnym warunkom życia szwajcarskiego — przyzwyczajeni są do współdziałania *dla pewnych celów* odrębnych partyi. Przypominamy tu czytelnikom naszym, że w Szwajcaryi istnieje organizacya (t, zw. Arbeiterbund), do której należą stowarzyszenia robotnicze różnych barw, zarówno socyalistyczne, jak i katolickie. Z ramienia tej organizacyi powstał szwajcarski sekretaryat robotniczy, utrzymywany przez rząd (sekretarzem jest socyalista Greulich).

Rękojmią dodatnich wyników kongresu był jego skład, w którym przeważali socyaliści. Zgadzając się obradować nad prawodawstwem o pracy wspólnie z ludźmi odmiennych wyznań społeczno-politycznych, socyaliści nie myśleli bynajmniej wdawać się w kompromisy i robić ofiarę z swych zasad. Zobaczymy w toku sprawozdania, że pozostali wierni swemu sztandarowi i energicznie obstawali przy swojem. Jedynie dzięki temu uchwały zjazdu są konsekwentne, zgodne z kierunkiem nowożytnego rozwoju gospodarczego i z interesami klasowymi proletaryatu.

Po za socyaldemokratami, kongres składał się głównie z t. zw. chrześciańskich socyalistów. Rzecz znamienna, że ewangeliccy socyaliści mieli na zjeździe reprezentacyę bardzo niepokaźną. Socyalizm ewangelicki nigdy nie miał większej siły ani znaczenia. Dawny przywódca socyalizmu chrześciańskiego w Niemczech, Stöcker, jest obecnie wyrantżerowanym działaczem politycznym. Na większą uwagę zasługują t. zw. Nationalsociale, pod wodzą pastora Naumanna, człowieka pod wielu względami wybitnego. Stronnictwo narodowo-społeczne wyznaje socyalizm chrześciański barwy nieco czerwieńszej. Ale i jego przyszłość — wobec coraz bardziej zaogniających się antagonizmów klasowych w Niemczech — jest bardziej, niż wątpliwa.

Najliczniej na zjeździe byli reprezentowani szwajcarscy socyaliści katoliccy, pod wodzą Decurtinsa — wybornego mówcy, człowieka wykształconego i szczerze sprzyjającego klasie robotniczej. Najśmieszniej zaś przedstawiali się antysemici wiedeńscy (ich nazwa urzędowa brzmi : christlich-sociale Partei). Jeden z nich, poseł Bielohlawek, uważał za niezbędne zapewnić kongres, że antysemici nie wierzą w pochodzenie człowieka od małpy i że ludzkość zawsze dążyć będzie do ideałów. Na kongresie budzili tylko śmiech.

Zasługuje na wzmiankę, że w obradach kongresu brało też udział kilku delegatów rządowych : przedstawiciel szwajcarskiego Departamentu przemysłu (inspektor fabryczny dr. Schuler), przedstawiciele wielu szwajcarskich rządów kantonalnych oraz belgijskiego i francuskiego Urzędu pracy. Paryska rada miejska wyasygnowała była pieniądze na koszta podróży dla 10 delegatów paryskich, ale ministeryum uchwałę tę unieważniło. Widocznie — powiedział dowcipnie Héritier, komunikując to zjazdowi — widocznie rząd francuski ma pieniądze tylko na podróże pana Faure'a.

Do delegacyi polskiej należeli tow. tow. Daszyński (przedstawiciel komitetu partyjnego Zachodniej Galicyi i P. P. S. w zaborze rosyjskim, Nacher, P., Żelaszkiewicz i ks. Stojałowski.

Delegat P. P. S. przedstawił kongresowi drukowany raport w języku niemieckim „o prawodawstwie fabrycznem i jego stosowaniu w zaborze rosyjskim“. Raport rozdany został wszystkim uczestnikom zjazdu.

* * *

Pierwszym punktem porządku dziennego była sprawa *pracy niedzielnej.* Referował dr. Beck, profesor uniwersytetu katolickiego we Fryburgu. Jeżeli on, żądając zakazu pracy niedzielnej, nacisk kładł na motywy religijne, to koreferent, socyalista Brandt kwestyę postawił na właściwym gruncie. Nie zadowolnimy się — mówił — zwyczajnym dniem odpoczynku dla zwierząt roboczych. Chcemy, by niedziela stała się dniem uciechy dla wszystkich. Wszelkie muzea, zbiory i biblioteki powinny w niedzielę stać otworem.

Pernerstorfer (z Wiednia) przeciwstawił wnioskowi Becka rezolucyę dosadniejszą i ściślej sformułowaną. Brzmi ona jak następuje :

„Międzynarodowy kongres zuryski dla opieki nad pracą żąda :

„1. Zakazu pracy niedzielnej, zawarowanego skutecznemi karami, dla wszelkich kategoryi robotników i urzędników.

„2. Wyjątki mogą być dozwolone tylko dla takich robót, jakie są konieczne dla zabezpieczenia normalnego biegu produkcyi w poniedziałek, albo, jeżeli proces wytwarzania ze względów technicznych nie może być przerwany, jakoteż dla zajęć, które są potrzebne, by lud w niedzielę mógł się kształcić i zabawiać.

„Spoczynek niedzielny nigdy nie powinien być przerywany pod pretekstem, że trzeba pokryć niedobór w produkcyi.

„3. Wyjątki od zakazu nie powinny zależeć od widzimi się władz i urzędników, opierających się na

niejasnych, rozciągłych postanowieniach prawa, ale powinny być wyraźnie w tekście prawa określone.

„4. Robotnicy i urzędnicy, pracujący w niedzielę na zasadzie tych wyjątków, powinni mieć co drugą niedzielę wolną, oprócz tego, zamiast spędzonej przy pracy niedzieli, jeden dzień w tygodniu wolny.

„5. Pod spoczynkiem niedzielnym i wolnym dniu w tygodniu rozumieć należy nieprzerwany odpoczynek 36 godzinny.“

Pr. Beck cofnął swój wniosek na rzecz rezolucyi Pernerstorfera, która też została przyjęta ogromną większością głosów. Przeciwko niej głosowali anglicy, którzy — ze względu na nudną i obłudną niedzielę purytańską — żądali, by nie nakazywać koniecznie świętowania niedzieli, lecz wogóle żądać nieprzerwanego odpoczynku 36 godzinnego. Zauważyć musimy, że stanowisko anglików nie było słuszne: rezolucya Pernerstorfera uwzględnia w dostatecznej mierze potrzebę kształcenia się i zabawy w niedzielę — z drugiej zaś strony ustanowienie w zasadzie różnych dni świątecznych dla różnych kategoryi robotników musiałoby spowodować dowolność, niezmiernie utrudniłoby kontrolę — a zresztą spotkałoby nieprzezwyciężoną przeszkodę w tysiącoletniej tradycyi święta niedzielnego.

Na wniosek d-ra Adlera (z Wiednia) kongres, przed przystąpieniem do właściwych obrad, uchwalił co następuje:

„Międzynarodowy kongres dla opieki nad pracą uważa za swój obowiązek, na początku swej działalności zwrócić uwagę na potężną walkę, którą robotnicy w angielskim przemyśle maszynowym toczą w tej chwili o najważniejszy punkt żądań robotniczych, o ośm godzin pracy. Kongres życzy walczącym szybkiego i zupełnego zwycięstwa“.

Rezolucyę tę przyjęto bez dyskusyi wszystkimi głosami przeciwko dwóm; niewielu tylko wstrzymało się od głosowania.

Na drugiem posiedzeniu zjazdu rozprawy były znacznie żywsze i różnica zdań uwydatniła się ostrzej. Chodziło o *pracę dzieci i młodzieży*. Referentem był socyalista, dr. med. Gehrig (z Bernu), korreferentem również socyalista, Reimann (z Biel). Dyskusya toczyła się o następujące punkty: o ustanowienie wieku, do którego młodzieży pracować niewolno, o rozciągnięcie przepisów na rolnictwo i przemysł domowy oraz rzemieślniczy, wreszcie o połączenie opieki nad pracą dzieci i młodzieży z nauką szkolną.

Część socyalistów chrześciańskich była za zakazem pracy dzieci do lat 14, socyaliści angielscy chcieli granicę tę rozciągnąć do lat 16, ogromna większość wszakże wybrała drogę pośrednią i uchwaliła zakaz pracy małoletnich do lat 15.

„Socyaliści“ chrześciańscy mówili: musimy być praktyczni — (jest to odwieczny wybieg ludzi, którzy chcą, jak niemcy mówią, den Pelz waschen, ohne ihn nass zu machen) — stawiajmy żądania możliwe do osiągnięcia; rolnictwo do tego stopnia różni się od przemysłu, że niepodobna ujmować go w karby tych samych przepisów prawnych, a i w przemyśle domowym niejedną pracę dzieci mogą wykonywać bez szkody dla siebie. Nauka szkolna nie ma związku z opieką nad pracą — to dwie różne dziedziny, których łączyć nie należy.

Socyaliści zwracali uwagę na to, że praca dzieci jest niesłychanie wyzyskiwana nie tylko w fabrykach, ale również, często w daleko wyższym stopniu, w rolnictwie, zwłaszcza zaś w przemyśle domowym. Wyzysk ten *wszędzie* powinien być poskromiony. Nauka szkolna z opieką nad pracą dzieci jest związana jaknajściślej; cóż bowiem mają robić dzieci, którym pracować na chleb nie wolno?

Znaczną większością głosów przyjęto wreszcie następującą rezolucyę:

„1. Dzieciom, nie mającym lat piętnastu, wszelka praca zarobkowa jest wzbroniona. Dzieci przed skończonym 15-ym rokiem obowiązane są chodzić do szkoły ludowej.

„2. Małoletni i terminatorzy w wieku od 15 do 18 lat nie mogą pracować dziennie dłużej nad 8 godzin; po czterogodzinnej nieprzerwanej pracy musi nastąpić przerwa przynajmniej 1½ godzinna.

„3. W tym czasie roboczym zawarty jest czas, potrzebny do odwiedzania szkół ogólnych i fachowych.

„4. Małoletnim i terminatorom do lat 18 wszelka praca zarobkowa w niedziele i święta bez wyjątku jest wzbroniona“.

Trzecie posiedzenie zjazdu poświęcone było sprawie *pracy dorosłych mężczyzn*. Referował socyalista Otto Lang, sędzia okręgowy w Zurychu. W doskonałej swej mowie oświetlił on sprawę ośmiogodzinnego dnia roboczego ze wszystkich stron i postawił następującą rezolucyę:

„1. Międzynarodowy kongres dla opieki nad pracą uważa wprowadzenie prawnego maximum dnia roboczego dla wszystkich robotników i urzędników w przemyśle, handlu, rzemiośle i komunikacyi, w wielkiej produkcyi rolnej, jako też w zakładach przemysłowych państwa i gminy — za rzecz niezbędnie potrzebną. W rolnictwie dozwolone są wyjątki na czas żniw.

„2. Domaga się od rządów i ciał prawodawczych, ażeby — wobec dzisiejszego stanu techniki i poczynionych już w różnych krajach i gałęziach przemysłu jaknajlepszych doświadczeń z 9-cio i 8-o godzinnym dniem roboczym—8 godzinny dzień roboczy uważano za cel do osiągnięcia.

„3. Gdzie przejście do ośmiogodzinnego dnia roboczego wydaje się dziś niemożliwem, należy zbliżyć się do niego przez ustanowienie możliwie najkrótszego maksymalnego dnia pracy.

„4. Prawodawstwo powinno ustanowić dla wszystkich rodzajów przemysłu, o ile całkiem szczególne warunki nie nakazują czego innego, jednakowe maximum czasu roboczego.

„5. O ile prawodawstwo dopuszcza wyjątki od maksymalnego dnia roboczego, powinno to być ściśle określone w samem prawie, a ilość godzin po nad normę w ciągu dnia i roku — z góry ustanowiona“.

Nad wnioskiem tym wszczęła się ożywiona dyskusya, w której różnica stanowiska socyalistów a reformatorów w duchu „chrześciańskim“ zaznaczyła się dobitnie. Wielu z tych ostatnich chciało ustrzedz beniaminka swego — rolnictwo — od prawnego ograniczenia dnia pracy. W tej myśli ks. Oberdörfer (ze Stolberg) zaproponował, by punkt 1-y wniosku zmienić na następujący:

„Kongres międzynarodowy uważa zaprowadzenie prawnego maximum dnia roboczego dla *zakładów przemysłowych* za pilną potrzebę“.

Co się tyczy ośmiogodzinnego dnia roboczego, to socyaliści chrześciańscy żądali go tylko dla robót, wymagających znacznego wysiłku. Tak np. Traub (z Tübingen) żądał, by żadna praca nie trwała dłużej nad 10 godzin, żadna ciężka praca dłużej nad 8 godzin, żadna praca szkodliwa dla zdrowia dłużej nad 6.

Najdalej poszedł w tem żądaniu decentralizowania — że się tak wyrazimy — maksymalnego dnia pracy radca sądowy Kulemann z Brunświku. Postawił on wniosek, by „określenie dnia roboczego zależało w każdym rodzaju przemysłu od stopnia intensywności pracy i spowodowanego tem wydatku sił“.

Socyaliści dzielnie walczyli z wszelkimi takimi wnioskami. Dobrze poparł ich w tym wypadku socyal-polityk wiedeński, Otto Wittelshöfer.

Socyalista belgijski, prof. Vanderwelde mówił między innemi: „Różnimy się od przeciwników tem, że nie żądamy skrócenia dnia roboczego w dobrze zrozumianym interesie kapitalistów, lecz w imię ludzkości i kultury. Zapewne, skrócenie dnia roboczego leży też w interesie kapitalistów. Dla kapitalisty robotnik jest maszyną, która powinna być utrzymana bez szkody, jak jego żelazne maszyny. Z tego stanowiska różniczkowanie jest całkiem słuszne. Szłuszne byłoby też powiedzenie, że ciężka praca, więcej zużywająca sił, powinna trwać krócej, lekka — dłużej. I ja uznaję, że woźnica tramwajowy może pracować 12 godzin bez zbytniego fizycznego wysiłku. Lecz my wychodzimy z wyższego stanowiska. Człowiek powinien użyć życia, a nie może żyć po ludzku przy pracy, trwającej dłużej, niż 8 godzin". Zwracano jeszcze uwagę na wiele innych względów, przemawiających przeciwko wnioskowi Kulemanna i innym podobnym. Wittelshöfer słusznie zarzucił, że ustanawianie dnia roboczego dla każdego rodzaju przemysłu wywołaćby musiało zaciętą walkę między każdą grupą fabrykantów a rządem. Dalej powoływano się na to, że niepodobna ocenić i porównać z całą ścisłością intensywności pracy w różnych rodzajach przemysłu, że jeżeli już różniczkować, to należałoby uwzględniać nietylko intensywność pracy, ale i jej zdrowotność, że bardzo wiele fabryk łączy rozmaite gałęzie produkcyi — a przecież niepodobna tam dla każdego oddziału ustanawiać innego dnia roboczego itd.

Zaznaczmy, że wniosek Kulemanna jest skopiowany z projektu Rodbertusa von Jagetzow — bez wniosków, jakie wyprowadził, i celu, jaki sobie zakreślił ten ostatni. Rodbertus domagał się t. zw. Normalwerkarbeitstag w tym celu, by można było ustanowić udział proletaryatu w plonach produkcyi narodowej — cel, jak widzimy, zupełnie różny od tego, który mają na oku socyaliści, żądając 8-godzinnego dnia roboczego.

Wniosek socyalistyczny przyjęto 170 głosami przeciwko 80.

Najbardziej ożywioną, a nawet namiętną dyskusyę wywołała sprawa *pracy kobiecej.* Tu uwydatniła się cała wyższość programu socyalistycznego nad projekcikami i sentymentalnemi dążeniami różnych reformatorów chrześciańskich i niechrześciańskich. Socyaliści żądali energicznej opieki nad pracą kobiecą we wszelkich rodzajach produkcyi, żądali *specyalnej* opieki ze względu na słabość fizyczną kobiety, jej położenie jako żony i matki, jej mniejszą siłę odporną wobec wyzysku kapitalistycznego. Ale, stojąc na gruncie rozwoju nowożytnego i widząc w pracy kobiet po za domem, bądź co bądź, warunek dla ich wyzwolenia społecznego — byli przeciwni *zakazowi* pracy niewieściej. Tego zaś właśnie żądali socyaliści chrześciańscy, stawiając jako ideał, by kobieta — jak się wyraził jeden z ich mówców — była w domu ministrem spraw wewnętrznych, pozostawiając mężowi rolę ministra spraw zewnętrznych.

Chociaż socyaliści chrześciańscy okazali się przeciwnikami pracy zarobkowej kobiet wogóle, poprzestali jednak na wniosku belgijskiego demokraty chrześciańskiego — de Wiarta:

„Praca kobieca, zwłaszcza zaś praca kobiet zamężnych w kopalniach, łomach kamieni i wielkim przemyśle, powinna być stopniowo usunięta".

Po świetnym turnieju oratorskim, w którym z jednej strony wystąpili w szranki Bebel, Pernerstorfer i towarzyszki Lily Braun i Klara Cetkin, z drugiej zaś baronowa Vogelsang (z Wiednia) i Decurtins — wniosek de Wiarta odrzucono 165 głosami przeciwko 98.

Przyjęto zaś wniosek, żądający specyalnej opieki nad pracą kobiecą na następujących głównych zasadach:

„1. 8-godz. dzień roboczy i 44 god. ogółem pracy tygodniowej; zakaz pracy w sobotę po południu.

„2. Zakaz dawania robotnicom, po skończonej pracy w warsztacie lub fabryce, roboty do domu.

„3. Zakaz pracy kobiet w ciągu 8 tyg. przed i po połogu (łącznie), przytem co najmniej 6-tyg. odpoczynek po połogu. Podczas tego okresu położnica otrzymywać ma od gminy lub państwa wsparcie, odpowiadające jej płacy.

„4. Równa płaca za równą pracę".

Niewłaściwem było, że we wniosku komisyi ze sprawą pracy kobiecej połączono też inne sprawy, dotyczące bezpośrednio *ogółu* robotników, jako to kwestyę zniesienia barbarzyńskich ustaw o czeladzi (Gesinde-ordnung) oraz pracy domowej. Sprawy te powinny były być traktowane osobno. Sprawa pracy domowej wywołała na kongresie dyskusyę między samymi socyalistami. Jedni, jak socyaliści angielscy i dr. Adler, słusznie żądali, by kongres wypowiedział się za zniesieniem pracy domowej, jako celem, który nie może być natychmiast osiągnięty, ale do którego energicznie zdążać należy. Socyaliści zaś niemieccy poprzestali na następującym wniosku (Vollmara):

„Kongres widzi w pracy domowej rodzaj zajęcia*), który wywołuje bardzo ujemne skutki pod względem społecznym i zdrowotnym i stanowi wielką przeszkodę dla organizacyi zawodowej i dla skutecznego prawodawstwa ochronnego. Kongres powierza przeto(!) dokładne rozpatrzenie tej sprawy przyszłemu kongresowi".

Wniosek ten przyjęto 70 głosami przeciwko 68.

Kongres obradował następnie nad *pracą nocną i pracą w gałęziach przemysłu szkodliwych dla zdrowia.* Referował dr. F. Erismann, b. profesor hygieny w uniwersytecie moskiewskim, pozbawiony niedawno posady za „wolnomyślność". Postawiony przezeń wniosek przyjęto jednogłośnie. Zawiera on następujące najważniejsze punkty.

I. Praca nocna.

„Praca nocna, to jest praca pomiędzy 8 godziną wieczorem a 6 rano, powinna być wzbroniona. Wyjątki mogą być robione tylko dla dorosłych mężczyzn i tylko dla tych rodzajów przemysłu, ktore wymagają pracy nieprzerwanej, przytem tylko w tych oddziałach, które takiej pracy wymagają. I w tych wypadkach praca nocna może się odbywać tylko za zgodą robotników. Wyjątki powinny być ściśle określone w samem prawie. W razie pracy nocnej robota na dobę nie może przewyższać maksymalnego dnia roboczego.

„W rodzajach przemysłu, wymagających pracy nieprzerwanej, praca powinna się odbywać z trzema zmianami. „Szychta" nie powinna trwać dłużej nad 8 godzin, czas zmiany powinien być oznaczony".

II. Praca w gałęziach przemysłu, szkodliwych dla zdrowia.

„Rodzaje przemysłu szkodliwe dla zdrowia powinny być oznaczone w drodze rozporządzenia administracyjnego. Pozwolenie na otwarcie zakładu przemysłowego w tego rodzaju produkcyi mogą być udzie-

---

*) Oczywiście, mowa tu nie o pracy domowej w szerszem znaczeniu wyrazu, lecz o tej formie produkcyi, którą Marks nazwał „zdecentralizowaną produkcyą kapitalistyczną".

lane tylko w takim razie, jeśli zostały zastosowane wszelkie środki dla usunięcia szkodliwych czynników. W nadzwyczaj szkodliwych dla zdrowia gałęziach przemysłu, jeśli nie można szkodliwości tej usunąć za pomocą środków technicznych, używanie szkodliwej materyi powinno być wzbronione. Dzieci, młodzież do lat 18 oraz kobiety nie mogą pracować w szkodliwym dla zdrowia przemyśle i w kopalniach zarówno w głębi, jak i na powierzchni. W przemyśle szkodliwym dla zdrowia dzień roboczy powinien być niższy od ogólnego maximum. Za wypadki i choroby odpowiedzialni są przedsiębiorcy".

Ostatnie posiedzenie kongresu poświęcone było dwóm ważnym sprawom: „środkom przeprowadzenia prawodawstwa opiekuńczego" i „urzędowi międzynarodowemu dla prawodawstwa o pracy". W pierwszej sprawie referował Decurtins, w drugiej Teodor Curti, członek rady rządowej (minister) w kantonie St. Gallen, z przekonań umiarkowany socyaldemokrata.

Jednogłośnie powzięto następujące rezolucye:

„Dla przeprowadzenia żądanego przez kongres prawodawstwa są niezbędne:

„1. Jednolity inspektorat przemysłowy, rozciągający swą działalność na wielki i drobny przemysł, kopalnie, przemysł domowy, handel, komunikacyę i rolnictwo, o ile w niem stosowane są maszyny. Pomocnicy i pomocnice inspektorów powinni być wybierani z pośród robotników. Liczba inspektorów powinna być dostateczną, aby każdy zakład mógł być zwiedzany przynajmniej co pół roku. Inspektorowie powinni mieć stanowisko niezależne i mieć władzę wykonawczą. Urzędowe sprawozdania z ich działalności powinny być ogłaszane co rok i sprzedawane po cenie kosztu.

„Dla rolnictwa ustanowić należy osobną inspekcyę.

„Dla dozoru nad pracą kobiecą powinny być mianowane inspektorki — w części ze sfer robotniczych.

„2. Zupełna wolność strejkowania. Oficyalne uznanie wszelkich dla kontroli nad prawodawstwem o pracy przez robotników stworzonych komisyi, izb, sekretaryatów, jako też związków zawodowych i ich prawa kontroli.

„Naruszenie swobody strejkowania podlega karze.

„3. Zaprowadzenie powszechnego, równego bezpośredniego i tajnego pra a wyborczego do wszystkich ciał przedstawicielskich dla zapewnienia klasie robotniczej należytego wpływu na parlamenty.

„4. Energiczna agitacya za prawodawstwem opiekuńczem o pracy.

„5. Peryodyczne międzynarodowe kongresy dla prawodawstwa o pracy.

„6. Międzynarodowe prawodawstwo o pracy powinno przedewszystkiem obejmować minimum wieku pracujących w przemyśle fabrycznym małoletnich, zakaz pracy nocnej w fabrykach dla kobiet i małoletnich, zakaz pracy kobiet w gałęziach przemysłu, szkodliwych dla zdrowia, zakaz pracy niedzielnej, oznaczenie ogólnego maksymalnego dnia roboczego".

Przyjęto następnie rezolucyę, by energicznie domagać się od rządów zaprowadzenia międzynarodowego urzędu dla prawodawstwa o pracy, którego zadaniem ma być zbieranie danych statystycznych, wydawanie sprawozdań rocznych o postępach prawodawstwa ochronnego, zbieranie i ogłaszanie istniejących już praw fabrycznych itp.

Uchwalono, by wezwać rząd szwajcarski do inicyatywy w sprawie tego urzędu.

Następnie na wniosek dr. Adlera zaznaczono, że dążenie do prawodawstwa międzynarodowego przenigdy nie powinno służyć za pretekst do zaniedbywania walki o prawodawstwo ochronne w ramach narodowych.

Po mowach pożegnalnych Liebknechta, Decurtinsa i Scherrera, zjazd zamknięto.

Res.

SOCYALIZM W WĘGRZECH

napisał

ERNEST GORAMI (z Budapesztu) *)

Nietylko w samych Węgrzech, ale i daleko po za granicami tego „nawpół barbarzyńskiego kraju" — jak się Bebel wyraża wzbudził podziw i zdumienie ten fakt, że pojawił się wśród chłopów oraz parobków węgierskich głęboki ruch socyalistyczny, który nawet doprowadził w tym roku do strejku rolnego w czasie żniw. Ze strachem zauważono, że czerwone widmo pojawiło się nawet w tej mlekiem i miodem płynącej krainie i to wśród ludności, którą dotąd powszechnie uważano, jako wolną od zarazy — wśród pracowników wiejskich.

Zdawkowy frazes o antykolektywistycznej czaszce chłopskiej w wielkim był dotąd użyciu u wszystkich obrońców porządku dzisiejszego. Chociaż bowiem trudno byłoby znaleść dowody na poparcie zdania, że robotnik wiejski bardziej jest odporny na socyalizm od jakiejkolwiek innej warstwy pracowników, jednak można było zawsze powoływać się na ten fakt, że agitacya socyalistyczna mało znajduje powodzenia na wsi. Jeżeli np. w Niemczech obok olbrzymiego ruchu robotników przemysłowych mamy tylko bardzo stosunkowo drobny na wsi, to w Węgrzech, gdzie przemysł istnieje właściwie tylko w stolicy, wydawały się zupełnie racyonalnemi przechwałki magnatów, utrzymujących, że socyalizm nigdy się do ich kraju nie przedostanie. To też jeszcze przed niewielu laty mógł pewien minister węgierski z zupełnie szczerą radością wykrzyknąć: „u węgierskiej granicy kończy się socyalizm!"

Rzeczywiście, do niedawna w Węgrzech mogła być mowa tylko o ruchu socyalistycznym wśród robotników przemysłowych, zatem w Budapeszcie i kilku miastach prowincyonalnych. Przemysł, liczący zaledwo ze trzy dziesiątki lat istnienia, jest tu pochodzenia obcego, przeważnie niemieckiego i austryackiego. Rozwinął się on pod protekcyą rządu węgierskiego, który wytęża oddawna wszystkie swe siły, aby zrobić z Węgier kraj fabryczny i nie żałuje fabrykantom niczego absolutnie. Nic też dziwnego, że kapitał międzynarodowy nie kazał się długo prosić i z namiętnością rzucił się na eksploatacyę tego, tak wiele obiecującego pola — Węgier. Większość fabryk, zakładanych przy pomocy i protekcyi rządu, powstała w Peszcie, gdyż tylko tam znajdowały się środki pomocnicze, nieodzowne dla istnienia wielkiej produkcyi. Zresztą wyrosło tylko kilka oaz przemysłowych w zachodniej części kraju, gdzie ułatwienie stanowił silnie rozpowszechniony język niemiecki (jak zresztą i w Peszcie (oraz bliskość Austryi.

Temu rozwinięciu się wielkiej produkcyi towarzyszyły zwykłe jego skutki. Kapitał stanął oko w oko w oko z masą robotniczą, zupełnie niezorganizowaną i nieświadomą i wyzyskał tę okoliczność gruntownie.

*) Tłómaczenie z N° 8 „Sozialistische Monatshefte" — miesięcznika niemieckiego, który niedawno omówiliśmy. Artykuł ten stanowić będzie dopełnienie do art. z N° 5 t. r., pod tytułem „Węgry".

O ochronie pracy, która by choć trochę zaradzała złu, nie było mowy, to też żądza zysku przedsiębiorców nie napotykała żadnych tam. Faktycznie w żadnym kraju robotnicy nie są tak źle płatni, a ich interesy mniej obronione, jak w Węgrzech. Przytem robotnicy wiejscy, uciekający tłumnie przed nędzą do stolicy, wytwarzali tam coraz większą armię rezerwową i przyczyniali się do zniżania płac.

W ten sposób powstały doskonałe warunki rozwoju dla ruchu socyalistycznego. Liczni robotnicy niemieccy, którzy pociągnęli do Węgier za kapitałem niemieckim, przynieśli do tego kraju zasady socyalizmu współczesnego, ponieważ zaś grunt był dobrze przygotowany przez rząd i chciwych zysku przedsiębiorców, więc rozpowszechniły się one szybko wśród robotników fabrycznych. Ale ograniczenie lokalne przemysłu zdziałało, że i socyalizm zamknięty został w niewielu miejscowościach. W Budapeszcie i paru innych centrach przemysłowych istniał silny stosunkowo ruch socyalistyczny, ale nie mógł on dojść do większego znaczenia. Ograniczenie w prawach wyborczych i brak swobody prasy i stowarzyszania się nie pozwalały robotnikom zorganizowanym wytworzyć ruch większy, obejmujący kraj cały. Przytem nie mieli oni prawie żadnych stosunków ze wsią. Tymczasem zdrowy ruch socyalistyczny tylko tam może się rozwinąć i dojść do powodzenia, gdzie jest dość pola dla walki z wrogiem, nie tam, gdzie wszystko odbywa się w paru izolowanych od reszty kraju punktach. Tam nie potrafi on nigdy zdobyć szerszych mas, nie pozbędzie się zwykłych wiekowi dziecinnemu chorób; rosnąc w lata, nie urośnie w znaczenie. Tak było u nas: kłótnie wewnętrzne, te prawdziwe choroby dziecinne naszej partyi, rosły z czasem, zamiast się zmniejszać. Można je uważać za wyładowywanie się żalu, spowodowanego niepowodzeniami partyi; nie umiano wynaleźć prawdziwych przyczyn tych niepowodzeń i zwalano winę na siebie, dając tem powód burżuazyi do cieszenia się. W tej bezpłodnej walce zmarnowało się wiele najlepszych sił, ona to doprowadziła b. ministra Komuny Leona Frankla do opuszczenia kraju po długiej syzyfowej pracy.

Podczas, gdy w stolicy panowały powyższe opłakane stosunki, powstawał zwolna na wsi grunt dla potężnego *ruchu socyalistycznego robotników rolnych*. Towarzysze ze stolicy mało dbali o prowincyę i wyglądało, jakby i oni niewiele nadziei pokładali w „antykolektywistycznej" czaszce chłopa. O jakiejś planowej agitacyi na wsi wcale mowy nie było. Właściwymi agitatorami naszymi byli właściciele ziemscy i władze, które krok za krokiem, choć pomimowoli, ale z doskonałym skutkiem, propagowały nasze ideje: pan, wyzyskując bezczelnie, po pańszczyźnianemu, chłopów, władze zaś, pomagając mu w tem z całej mocy. Maszyny i wogóle racyonalne gospodarowanie, rozpowszechniające się coraz bardziej pod naciskiem konkurencyi zagranicznej, wytworzyły z czasem olbrzymią i rosnącą coraz bardziej armię rezerwową. Do lichych płac dołączało się oszukaństwo przy wypłatach itp. Sądu i sprawiedliwości nigdzie niepodobna było znaleźć. Cóż dziwnego, jeżeli w ludzie nareszcie krew zaczęła się gotować, co przedewszystkiem wyraziło się w ogromnym wzroście starć z żandarmami. Zaczęto się ruszać — prawda że z początku bezcelowo — w całej kotlinie węgierskiej. Rząd chwycił się swego jedynego lekarstwa społecznego — posyłał wojsko, co jeszcze bardziej rozdrażniało ludność. Doszło do tego, że zaczęto prowokować chłopów, chcąc utopić ruch cały we krwi. Telegramy z prowincyi, donoszące o tylu i tylu zabitych lub rannych, pojawiały się bez ustanku.

Jeżeli który z mówców opozycyjnych ujął się w parlamencie za chłopów, to głos jego przebrzmiewał bez skutku, gdyż rząd miał zawsze większość za sobą. To rozzuchwalało magnatów. Ale w rezultacie ginął wszędzie dawny patryarchalny stosunek chłopa do pana i świadomość klasowa ludu wzrastała.

Nic dziwnego, iż ideje socyalistyczne, przedostawszy się między chłopów, podziałały tam jak iskra w składzie prochu. Ale co szczególne, to, że owo rozpowszechnianie się socyalizmu odbywało się w zupełnej ciszy. Można było zauważyć, że wszędzie istnieje ferment niezadowolenia, ale nie wiedziano, jaką rolę gra przy tem socyalizm. Nawet towarzysze ze stolicy byli zdziwienie, gdy się przekonali, z okazyi jednego ze zwykłych krwawych buntów, jak daleko chłopi zaszli w swem pojmowaniu socyalizmu. Gdy przyszło do rozpraw sądowych, zdumienie ogarnęło wszystkich, z taką jasnością i dokładnością chłopi bronili zasad kolektywizmu.

Wtedy i towarzysze miejscy przekonali się, że środek ciężkości węgierskiego ruchu robotniczego leży na wsi, nie w mieście. Zrozumiano, ile by mogły zdziałać te masy włościańskie i rozpoczęto agitacyę planową, w celu wyzyskania niezadowolenia i zorganizowania tych, którzy byli już przejęci zasadami socyalizmu.

Pomimo wszystkich przeszkód, stawianych przez rząd, robota posuwała się naprzód. Włościanie i parobcy węgierscy nie mieli dawniej żadnych przekonań politycznych. Partye burżuazyjne nie dbały o nich bynajmniej, gdyż nie posiadali oni prawa głosowania — zajmowano się wyłącznie ludnością, płacącą 10 złr. podatku, ich zaś nie brano bynajmniej w rachubę. Wskutek tego nie znajdowali się oni pod wpływem żadnego stronnictwa, a jedyna rzecz, która łączyła ich z polityką, były to wspomnienia z r. 1848 — 49.

Niema narodu, wśród którego by rewolucya z r. 1848 tak głębokie pozostawiła ślady, jak wśród węgrów. Hasła ówczesne: wolność! równość! braterstwo! — pozostały dotąd ich ideałem, a namiętna nienawiść, która powstała wtedy przeciwko reakcyi niemiecko austryackiej, przeniosła się później — i po dziś dzień — żywiołowo na wszystko, co jest niemieckie. Tem tłómaczy się dzisiejsza nienawiść do niemców *ludu* węgierskiego, której przyczyn należy szukać w miłości do swobody, nie zaś w ograniczonym szowinizmie, czego najlepszym dowodem jest to, że w miejscowościach czysto madziarskich międzynarodowość socyalistów nie przeszkadzała im bynajmniej w robocie. Przeciwnie, ludność przyjmowała to hasło z entuzyazmem i z dumą zaznaczała swą solidarność z towarzyszami zagranicznymi, których powodzenie przejmowało ją radością. Ale fakt ten, że właśnie najbardziej patryotycznie nastrojeni węgierscy niemcożercy przejmowali się zasadami międzynarodowemi — to najbardziej dziwiło burżuazyę, której nie mieściło się w głowie, skąd włościanin węgierski przychodził do „takich" myśli — nie rozumiała ona, jaka przepaść istniała między miłością własnego kraju u ludu pracującego i jej samolubnym szowinizmem.

W ten sposób zemściło się na burżuazyi polityczne wydziedziczenie robotników. Nie należący do żadnej partyi, żyjący w swych wspomnieniach rewolucyjnych, prześladowany i wyzyskiwany robotnik wiejski, łatwo został zdobyty przez socyaldemokracyę. Codzień wzrastała liczba towarzyszy, gdy się zaś okazało, że rząd postanowił zdusić wszelką organizacyę jawną, wtedy powstała tajna. W ten sposób rząd stracił wszelką możność kontrolowania ruchu, który wkrótce doszedł do takich rozmiarów, że organizacya była w stanie wywierać wpływ na wybory wiejskie. Dzięki temu, że przy głosowaniu na rady gminne wszyscy biorą udział, potrafiono w wielu miejscach przeprowadzić swych kandydatów, a nawet niekiedy zdobyć całe rady.

Przy tem szybkiem wzrastaniu ruchu odczuto wkrótce potrzebę wspólnego porozumienia się. Niedawno je-

szcze wywołała przyjemne zdumienie na kongresie socyalistycznym obecność *jednego* delegata chłopskiego, teraz już pokazało się, że trzeba zwołać specyalny kongres robotników wiejskich. Dwa takie kongresy odbyły się też na początku roku bieżącego. Oba stały na gruncie czysto socyalistycznym i uchwaliły wyraźnie przyjęcie — oprócz programu czysto rolnego — całego programu partyi socyalistycznej.

Oto są główne żądania, tyczące się specyalnie robotników wiejskich :

1) Tymczasowy 12-godzinny dzień roboczy z zachowaniem żądania dnia 8 godzinnego ;

2) zniesienie pracy akordowej i zaprowadzenie wypłat od dnia ; wypłaty w gotówce, nie w ordynaryi ;

3) zniesienie darmochów (pracy nie płaconej wcale) ; dodatkową płacę godzinową za robotę po fajerancie ;

4) zaprowadzenie sekretaryatów pracy przy większych robotach, dla pośredniczenia między właścicielem a robotnikami ;

5) równa płaca dla kobiet przy jednakowej pracy z mężczyznami i t. p.

Pod względem politycznym żądano : głosowania powszechnego, bezpośredniego i równego, zupełnej swobody prasy i zgromadzeń, swobody przenoszenia się z miejsca na miejsce bez obowiązku legitymowania się władzom dokumentami i t. d.

Wreszcie uchwalono założenie specyalnego organu rolnego, który też wychodzi odtąd dwa razy na miesiąc.

Na tych kongresach powstała też myśl *powszechnego strejku w czasie żniw.* Między innymi wyraził się pewien delegat z silnie zaagitowanej miejscowości Oroshaza w sposób następujący : „robotnicy wiejscy żądają praw politycznych i panowie będą musieli dać je nam. Jeżeli nie uzyskamy wkrótce powszechnego głosowania, to wydamy podczas żniw hasło, że wszyscy powinni pracę porzucić, a cóż oni wtenczas zrobią ?“

Zatem powszechny strejk w czasie żniw był tu rozpatrywany, jako środek walki *politycznej*, jeżeli zaś tego roku nosił on pomimo tego charakter wyłącznie ekonomiczny, to przyczynę stanowi niedostateczna jak dotąd — w stosunku do olbrzymiego zadania — siła organizacyi i brak doświadczenia w zastosowaniu tego nowego środka. Strejk, który ukończył się niedawno, miał za zadanie zdobycie lepszych warunków pracy. Z pomiędzy 15.000 robotników wiejskich, którzy wzięli w nim udział, przeprowadziło swe żądania około dwóch trzecich; a porażka reszty spowodowana została przez niesłychane wysiłki rządu. Tysiące „smyków“ zostały najęte przez państwo, które skoncentrowało ich w pewnych punktach i stąd posyłało właścicielom ziemskim, którzy się zgłaszali. Ale na przyszłość środek ten rządowy straci dużo na skuteczności, gdyż doświadczenie, nabyte tym razem, i ciągły wzrost organizacyi pozwolą już wkrótce myśleć o *strejku powszechnym*, a wtedy rząd okaże się bezsilnym, gdyż nie znajdzie nigdzie dostatecznej ilości zastępców. Tymczasem można być pewnym, iż z każdym rokiem rosnąć będzie strejk żniwiarzy, którego przygrywkę widzieliśmy niedawno.

Strejk taki jest jednym z najpotężniejszych, jeżeli nie *jedynym środkiem* zdobycia praw politycznych, ukradzionych ludowi. Z czasem rząd węgierski będzie musiał kapitulować.

A zupełne wykonanie podobnego strejku nie jest bynajmniej utopią. Na powszechny strejk żniwiarzy należy się zapatrywać z innego zupełnie punktu widzenia, niż na to, co się zwykle zowie *strejkiem powszechnym.* Jest on wykonalny ; przedewszystkiem robotnik wiejski nie ryzykuje tyle, co miejski, gdyż skutki strejku daleko są łatwiejsze do zniesienia na wsi, niż w mieście fabrycznem, dlatego łatwiej rolnika namówić od mieszczucha, powtóre zaś strejk podobny, mający zadania polityczne, nie potrzebuje koniecznie ogarnąć wszystkich robotników, dla dopięcia celu. Wystarczy, jeżeli dwie trzecie robotników zaprzestaną pracować, by przynieść olbrzymie szkody właścicielom, a przez nich wpłynąć na rząd i parlament. Jeżeli 60 do 100.000 rolników będzie co rok porzucało pracę i stawiało pewne żądania polityczne, to opór rządu nie będzie mógł trwać długo. Jeżeli zatem powszechny strejk robotników fabrycznych jest zawsze przedsięwzięciem niepewnem, to rolnicy mają dużo szans zwycięstwa.

Socyaliści węgierscy weszli teraz na właściwą drogę i będą po niej postępowali. Wkrótce rolnicy „nawpół barbarzyńskich“ Węgier będą mogli pochwalić się zdobyczami, które pozwolą im stanąć godnie obok ich braci zachodnio-europejskich.

ROSYJSKIE WYDAWNICTWA REWOLUCYJNE

W nr 4 rozpatrzyliśmy różne wydawnictwa rosyjskich grup socyaldemokratycznych. Dziś zajmiemy się innemi partyami rewolucyjnemi.

Najpoważniejszem wydawnictwem w tej kategoryi są bezwątpienia *Materyały do historyi rosyjskiego ruchu socyalno rewolucyjnego*, wydawane przez „Grupę starych narodowolców“. Trzy pierwsze numery tego organu nieperyodycznego były przez nas w swoim czasie omówione. Odtąd wyszły cztery nowe (N°N° 4, 5 i 6—7).

Jak i poprzednio, „Materyały“ składają się z 2 części : jednej historycznej, zawierającej większe prace o dziejach ruchu, drugiej, zatytułowanej : „Z kraju i o kraju“ — poświęconej wypadkom bieżącym i kwestyom dnia. W pierwszej części zeszytów, które mamy przed sobą, pomieszczone są 2 prace : „Towarzystwo Zemlja i Wolja“ E. Serebriakowa i „Ludowcy — propagandyści 1873 — 1877“ P. Ławrowa. Przypatrzmy się im.

Rzecz E. Serebriakowa stanowi historyę pierwszej prawdziwej partyi politycznej, która wyłoniła się w Rosyi z pierwszych kółek socyalistycznych. O „Z. i W.“ dużo już pisano po rosyjsku, ale były to po większej części drobne urywki, przytem obecnie, gdy stare wydawnictwa rosyjskie rozeszły się po większej części, a zbioru ich kompletnego nigdzie niema — są one niedostępne dla szerszego ogółu. Zasługą E. S. jest zebranie wszystkich tych danych w jedną całość. Pomagały mu w tem wspomnienia osobiste oraz rękopisy niewydane b. członków Z. i W. Są tam rzeczy zupełnie nowe, np. szczegółowy opis zjazdu w Woroneżu, na którym zaznaczył się wyraźnie rozbrat między ludowcami starego, chłopomańsko-anarchistycznego pokroju, a „politykami“, którzy mieli wkrótce założyć Narodną Wolę. Na ogół jednak nie można powiedzieć, żeby artykuł ten rzucał nowe światło na wypadki.

Olbrzymi artykuł Ławrowa (292 str.) zawiera mnóstwo ciekawych faktów. Posiada on wszystkie wady, cechujące zwykle utwory tego patryarchy rewolucyi rosyjskiej — rozwlekłość, zawiły, często niejasny wykład, przeładowanie cytatami, które nużą czytelnika i odwracają jego uwagę od punktów zasadniczych, ale, pomimo tego, jest bardzo zajmujący i wyjaśnia wiele epizodów, mało, lub wcale dotąd nieznanych. Szczególniej zajmujące jest opowiadanie o założeniu, losach i przyczynach upadku organu, który Ławrow redagował w swoim czasie, p. t. „Wpieriod“ (Naprzód). Cały ten ustęp stanowi bardzo cenny dodatek do Thuna i prostuje wiele błędnych poglądów tego autora. Dalej ciekawy jest bardzo opis kolonii rosyjskiej w Zu-

rychu z początku ósmego lat dziesiątka, tej epoki pełnej poezyi i poświęcenia, kiedy to oddziały całe młodzieży, szczególniej dziewcząt, często należących do bogatych i arystokratycznych rodzin, jechały zagranicę i poświęcały się całkowicie sprawie rewolucyjnej.

Czasy te wydały cały szereg późniejszych, bardzo wybitnych działaczy i działaczek, że wspomnimy tylko dwie siostry Figner. Żałować nawet należy, iż autor szerzej się nad tem nie rozwiódł. Szkoda również, że nie przedstawił on w sposób objektywny sporów, które toczyły się między bakunistami, nabatczykami i zwolennikami jego kierunku. O sporach tych istnieją wzmianki w różnych wydawnictwach z tej epoki, zwykle bardzo stronniczo zabarwione i nic dające najmniejszego pojęcia o rzeczy, wskutek tego, historycy, piszący o tych czasach, powtarzają często oskarżenia, które, przy bliższem zbadaniu, okazałyby się może pozbawionemi podstawy.

Zajmujący jest opis przedostawania się „Wpierodu“ do Rosyi, z tego względu, iż charakteryzuje on dobrze niepraktyczność naszych towarzyszy rosyjskich. Różne grupy wydawały zagranicą w owe czasy bardzo dużo druków, ale żadna z nich nie postarała się o stworzenie sobie pewnej i poważnej drogi dla przewożenia ich do kraju. Zwykle pozostawiało się to losowi. Z drugiej strony znajdowali się ludzie, pełni poświęcenia, w rodzaju Zundelewicza, którzy zajmowali się wyłącznie przemycaniem, ale ci nie należeli do żadnej partyi, a po ich areszcie nie znajdował się nikt, kto by ich zastąpił. W kraju również wydawnictwa rozchodziły się tak, jak się dało.

Osobny ustęp poświęcony jest stosunkom z polskimi rewolucyonistami owych czasów, jenerałem Wróblewskim i stowarzyszeniem „Ludu Polskiego“.

Szczegółowe przedstawienie propagandy Bakunina i Tkaczewa oraz streszczenie paru pierwszych broszurek rosyjskich, dziś znanych tylko z tytułu, dopełniają obrazu tej epoki, która tak bezpowrotnie już minęła, że dziś może stanowić doskonały objekt dla badań historyka. Artykuł Ławrowa przyczyni się znakomicie do jej poznania.

Z większych rzeczy, pomieszczonych w 2-gim oddziale „Materyałów“ wymienimy tu artykuł, poświęcony „Pamięci polskich i rosyjskich męczenników 28-go stycznia 1886 r.“ Jest to historya „Proletaryatu“, napisana ciepło i z sympatyą, jakkolwiek z błędami, które zresztą są nieuniknione dziś jeszcze. O swem zapatrywaniu na dzisiejszą organizacyę naszą „Materyały“ dyskretnie milczą. Dalej idzie kronika „ruchu“, t. j. aresztów, prowadzona bardzo powierzchownie. Spotykamy w niej różne nasze miasta, przy których figurują zwykle nazwiska zaaresztowanych litewskich żydów. Oprócz tego każdy numer zawiera kronikę życia wewnętrznego w Rosyi.

Fundusz Wolnej Prasy Rosyjskiej wydał obecnie 22-gi tomik swej biblioteczki. Z większych rzeczy, które ona zawiera, wymienimy trzy dzieła, tyczące się historyi kultury. Flerowskiego — książki, które mogłyby z lekkiemi zmianami być wydane legalnie, „Projekt konstytucyi rosyjskiej“, o którym mówiliśmy w swoim czasie, „Kwestya życiowa“ — wydawnictwo „Narodnogo prawa“, przedrukowane zagranicą, wreszcie „Dzisiejsza konstytucya rosyjska“ — streszczenie praw „podstawowych“ caratu, rzecz zajmująca, gdyż maluje ona dobrze azyatycki charakter monarchii rosyjskiej.

Narodowolec. Jest to wydawnictwo peryodyczne, wychodzące, jak dotąd, nieregularnie, w Londynie. Wyszły już 2 numery.

Redakcya „Narodowolca“, w słowie wstępnem N⁰ 1-go, przyznaje się do programu partyi Narodnoj Woli. Co prawda, program ten jest streszczony (str. 11) w sposób dość odmienny od wyznania wiary dawnego komitetu wykonawczego. Czytamy tam co następuje:

„Najbliższem naszem zadaniem będzie — zniesienie absolutyzmu, odebranie spraw ogólno państwowych biurokracyi i oddanie ich obieralnym przedstawicielom narodu, *federacyjny ustrój państwa*, samorząd, zapewnienie jednostce swobody słowa, druku, osobistej, narodowej itp.

„Pod względem ekonomicznym będziemy bronili i popierali wszystko, co nas zbliży do celu ostatecznego — socyalizmu“.

„Narodowolec“ poświęca dużo miejsca propagandzie i obronie teroryzmu. Nie wydaje nam się, by to mogło doprowadzić do poważnych rezultatów. Pojmujemy dobrze, że w pewnych wypadkach propaganda teroru może być potrzebna, choćby nawet w kraju zamachy się nie odbywały — gdy konieczne jest zwrócenie uwagi powszechnej na ten środek walki — ale koniecznym warunkiem powodzenia jest wtedy istnienie partyi, która by mogła wykonać rady, dawane przez pismo. Takiej partyi jakoś dotąd nie widzimy w Rosyi.

Dalej „Narodowolec“ wzywa wszystkich rewolucyonistów rosyjskich do łączności, nie żąda on zlania się oddzielnych kierunków w jedno, ale działania wspólnego i wzajemnej pomocy. I tu sądzimy, że kwestyę rozstrzygną fakty, nie nawoływanie do takowych. W każdym razie dobre chęci zaznaczyć warto.

Sowremiennik. Pod tym tytułem wyszły trzy numery miesięcznika, wydawanego w Londynie. Redakcya jest anonimowa, ale pewien emigrant rosyjski. Czajkowski, zaręcza, że składa się ona z porządnych ludzi. Pismo to jest w najwyższym stopniu blade. Krytykuje ono ostro liberałów za ich niedołęstwo (N⁰ 1) — i to stanowi jego najlepszą stronę — ale samo nie stawia natomiast nic, oprócz ogólników o potrzebie zniesienia despotyzmu. W N⁰ 2-im znajduje się list otwarty do cara, któremu autor radzi, żeby się poprawił.

Wydawnictwa krajowe. Tu przedewszystkiem zaznaczamy, że w grudniu 1895 r. wyszedł N⁰ 4-ty „Listka Narodnoj Woli“, który odznacza się treścią zupełnie socyaldemokratyczną. Zaś w marcu roku następnego wydany został N⁰ 1 (i jedyny) pisma „Borba“; był to organ demokratyczny. Wydawnictwo to zostało zawieszone, chociaż grupa, która je zamierzała prowadzić, istnieje i nie myśli bynajmniej zaprzestać swej działalności.

Rzecz charakterystyczna: w obu powyższych wydawnictwach znajdują się pochwały dla broszurki rosyjskiej p. t. „O agitacyi“. Otóż treść tej broszurki odpowiada zupełnie poglądom, wyrażonym w artykule, który przedrukowaliśmy i oceniliśmy w N⁰ 6 Przedświtu z r. 1896 p. t. „W kwestyi taktyki ruchu robotniczego“; jest to zrzekanie się zupełne agitacyi politycznej, przynajmniej w pierwszej fazie działalności. Taka rzecz chwalą ludzie, którzy sami stawiają sobie za główny cel walkę polityczną!

Wreszcie zaznaczamy, żeśmy w N⁰ 4-ym niesłusznie zaliczyli broszury, wymienione na końcu artykułu, do wydawnictw socyaldemokratycznych. Zostały one wydrukowane w drukarni pewnej grupy zwolenników Narodnoj Woli.

A. W.

ZE ŚWIATA

Zamach anarchistyczny na hiszpańskiego prezesa ministrów

Osobistość, która może najbardziej krwawo zaznaczyła się w historyi dni ostatnich p. Canovas del

Castillo, prezes ministrów monarchii hiszpańskiej, padł z ręki mściciela anarchistycznego. Powiadamy „mściciela“, gdyż rzeczywiście p. Canovas zrobił w czasie swej długiej karyery politycznej wszystko, co mógł, by zgromadzić na siebie jak największy zasób nienawiści ludowej. „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie“ — a Canovas wojował nie tylko mieczem, ale wszystkiem, czem mógł — od rozpalonych obcęgów i szczypców do wyrywania paznogci do trucizny oraz armat szybkostrzelnych. Jeżeli rzecz to niesłychana, iż u nas Orżewscy, Hochfeldy oraz Białonowscy chodzą bezkarnie po świecie, albo umierają spokojnie w swych łóżkach, to życie Canovasa było wprost naigrawaniem się z najzwyklejszych zasad moralności publicznej.

Hiszpania była zawsze krajem, w którym namiętności polityczne dochodziły do krańców; znana jest historya inkwizycyi. która stanowiła po prostu środek zjednoczenia państwa i masowego wytępienia żywiołów opornych oraz ludności mahometańskiej. Ale w ostatnich czasach przyznać należy, że zapanował tam duch daleko bardziej humanitarny. Nie wyrzeczono się wprawdzie wcale ochoty do rewolucyi „krwawych“, z łatwością porywano się do broni, aby wywalczyć czy to republikę, czy też choćby tylko autonomię dla pewnych prowincyi — czego zresztą bynajmniej za złe hiszpanom brać nie można i co stanowi bardzo sympatyczną cechę półwyspu iberyjskiego — ale np. kara śmierci była tak w Hiszpanii zohydzona, że w razie wyroku odpowiedniego tysiące osób wszelkich stanów, od robotników do arcybiskupów, podawały petycye o ułaskawienie „zbrodniarzy“. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu barbarzyński sposób wykonywania kary, *garotowanie* czyli gruchotanie kręgów za pomocą żelaznej obręczy, które oburzało wielu, nawet bardzo zaciekłych „obrońców porządku społecznego.“ Ale to rozpowszechnianie się uczuć ludzkości nie w smak było zgrai polityków, którzy wysysają niemiłosiernie lud hiszpański i pełnemi garściami czerpią w skarbie państwowym (suma podatków, wypadająca na głowę mieszkańca, jest w Hiszpanii *najwyższa* z całej Europy, pomimo, iż kraj ten posiada bardzo słabo rozwinięty przemysł i wogóle jest ubogi). To też stawiali oni opór energiczny wszelkim próbom złagodzenia barbarzyńskiego kodeksu karnego i starali się rozbudzić w narodzie krwawe instynkty wszelkimi sposobami.

Duszą tej reakcyi był Canovas. Stojąc na czele partyi konserwatywnej, przychodził on co kilka lat do władzy i wtedy starał się zniszczyć tych przeciwników politycznych, którzy mogli mu się stać groźnymi, rzeczywiście „ogniem i mieczem.“ W Hiszpanii ruch socyalistyczny dotąd dość jest słaby (chociaż rozwija się stale), ale, odpowiednio do zacofanego ekonomicznie stanu, dużo tam anarchistów, którzy nieraz już potrafili dać się poważnie we znaki rządowi i burżuazyi. Przeciwko nim zwróciła się przedewszystkiem „żelazna dłoń“ Canovasa. Drugie niebezpieczeństwo dla państwa stanowiły powstania, wybuchające bez ustanku w różnych koloniach hiszpańskich. I te miały być stłumione, choćby to kosztowało życie całej ludności tych kolonii.

W Barcelonie, podczas procesyi kościelnej wybucha bomba. Kto ją rzucił, niewiadomo Niektóre gazety posądzały o to wprost stronnictwo klerykalne, szukające protekstu dla prześladowań. Policya aresztuje na chybił trafił kilkuset anarchistów i rozpoczyna śledztwo. Nie doprowadza ono do niczego, gdyż uwięzieni przyznają się wprawdzie do swych zasad, jednak nic z zamachem nie mieli wspólnego. Ale to nie może stanowić przeszkody dla Canovasa. Nakazuje on poddać więźniów torturze. Ze starych składów więziennych wydobyte zostają zardzewiałe narzędzia i klucznicy zaczynają wprawiać się w ich używanie. Więźniom na głowę nakładane bywają maski żelazne, które, za pokręceniem szruby, zgniatają kości i oddzi rają wargi. Części płciowe ściskane są i targane obcęgami, paznogcie wyrywane u nóg, a na całem ciele wypalane różne desenie rozpalonymi szczypcami. Niektórzy z nieszczęśliwych, z którymi obchodzono się w ten sposób, wydobyli się obecnie ze szponów tego szatana i pokazują swe nogi, pozbawione paznogci, i członki, wykrzywione od tortur.

Naturalnie, że takie „śledztwo“ musiało doprowadzić do zamierzonego skutku: więźniowie w męczarniach przyznawali wszystko, o co ich oskarżano. Na podstawie tych zeznań skazano 4 z pomiędzy nich na karę śmierci, wielu zaś na długoletnie więzienie, pomimo że przed sądem cofnęli oni wszyscy (oprócz jednego, który zwaryował od uderzeń i nic już nie rozumiał) swe zeznania i opowiedzieli, jak się z nimi obchodzono. Wyrok został wykonany. Między zamordowanymi znajdował się i ów waryat.

To co robiono w Hiszpanii, powtórzono w koloniach, tylko na większą skalę. Na Filipinach torturowano jeńców wojennych, by wykryć szczegóły spisku, poczem rozstrzelano ich, między innymi znanego i w Europie uczonego, doktora Rizal. Na Kubie wojna prowadzona jest w ten sposób, że *każdy* jeniec wojenny bywa rozstrzelany, plantacye ludności zbuntowanej są niszczone, a co tydzień odbywają się targi publiczne, na których z licytacyi sprzedawane bywają wzięte do niewoli kobiety i dziewczęta kubańskie. Przewódcy ruchu mordowani bywają podstępnie. Swoją drogą nic to nie pomaga: bohaterska ludność tej wyspy (liczącej zaledwo 2 miliony mieszkańców, z których w dodatku tylko część bierze udział w powstaniu) od kilku lat opiera się 250 tysięcznej armii hiszpańskiej i ani myśli o złożeniu broni.

I jeżeli dzisiaj znalazł się człowiek, który postanowił kosztem swego życia ukarać sprawcę wszystkich powyższych zbrodni, to zaiste nie tylko nie można się temu dziwić, ale każdy mu przyklaśnie. Zamachy anarchistyczne wogóle rzadko kiedy mogą wywołać uczucie sympatyi: zwykle są one nieskończenie głupie, a często dokonywają ich ajenci policyjni. Ale zabójstwo Canovasa było wynikiem szeregu zbrodni tak okropnych, że trudno z niem nie sympatyzować, choćby się potępiało doktrynę, wyznawaną przez mściciela niewinnych ofiar. To też nic dziwnego, że większość pism socyalistycznych we wszystkich krajach ucieszyła się szczerze z zabicia Canovasa, odstępując tych razem od zwykłej, najzupełniej słusznej zresztą taktyki potępiania zamachów anarchistycznych. Angielscy towarzysze (Socyal Demokratyczna Federacya), których o sympatye do anarchii posądzać chyba nikt nie będzie, przyjęli nawet rezolucyę, pochwalającą wyraźnie zamach. Ze współczuciem do Canovasa wypowiedział się najenergiczniej Bismark, który oświadczył, że jest to jedyny człowiek, przed imieniem którego on schyla głowę.

Zabójca nazywa się Michał Angiolillo; czynu swego dokonał on za pomocą rewolweru, z którego strzelił 3 razy do Canovasa. Trafiony w głowę i piersi, prezes ministrów padł i wkrótce ducha wyzionął. Angiolillo został stracony za pomocą garoty.

* * *

Policya bulgarska na ławie oskarżonych

Gdy się rozeszła wieść o okrutnem i wstrętnem zamordowaniu Stambułowa, wtedy nie brakło głosów, które dowodziły, że właściwym sprawcą zbrodni jest książę bulgarski, Ferdynand Koburg. Powoływano się na to, że bezpośrednio przed morderstwem książę

odmówił Stambułowowi paszportu zagranicznego, chociaż ten uzasadniał swą prośbę zarówno skołatanem zdrowiem, jak i przeświadczeniem, że jest otoczony zbójcami, czyhającymi na jego życie. Wskazywano również na ten fakt, że cała zbrodnia była najwidoczniej przygotowana przez policyę, która raniła nawet sługę Stambułowa, gdy ścigał morderców, wreszcie że sąd obszedł się z nimi bardziej, niż łagodnie. Ale znaczna część prasy, nawet nie rusofilskiej, protestowała gorąco przeciwko powyższemu przypuszczeniu; Ks. Koburg, powiadano, pochodzi z małego księstewka niemieckiego, wychował się na dworze o obyczajach skromnych, jakże zatem można przypuścić, by maczał swe ręce we krwi? Wogóle zaś rozpowszechniony jest pogląd, że dawne usuwanie przeciwników politycznych przez rządy należy obecnie do dziedziny bajek.

Tymczasem niedawno rozegrał się w Bulgaryi dramat, który rzuca dziwne światło na „skromnego“ Koburga.

Szczegóły samej sprawy streścimy w paru słowach, gdyż są one znane z pism legalnych.

Niejaka Anna Simon, poddana austryacka, szansonetka, znikła nagle. Gdy się jej znajome zaczęły o nią dowiadywać na policyi, odpowiedziano im, że wyjechała do Wiednia. Tymczasem policya wiedeńska nie znalazła jej, zaczęły się rozchodzić wieści, że Simon jest zamordowana, konsulat austryacki wdał się w tę sprawę i wreszcie ministeryum spraw wewnętrznych zmuszone zostało zarządzić śledztwo.

Cóż się okazało? Oto, że Simon była przez długi czas na utrzymaniu u niejakiego Bojczewa, rotmistrza i adjutanta książęcego, że ten ją później porzucił i pozostawił w okropnej nędzy, że ona mu za to robiła okropne skandale przed samym pałacem książęcym (w Filipopolu) i że w dzień zniknięcia wyjechała powozem z Bojczewem, prefektem policyi m. Filipopola, Noweliczem i z żandarmem Wasiliewem. Tu ślady ginęły, ale wkrótce Nowelicz został przyparty do muru i zaczął śpiewać. Przyznał się mianowicie, że on oraz Bojczew zadusili Simon i wrzucili ją do rzeki; tłómaczył swój postępek tem, że Bojczew występował w imieniu księcia i wezwał jego pomocy dla usunięcia winowajczyni licznych skandalów, kompromitujących dwór w najwyższym stopniu. Śledztwo stwierdziło najzupełniej zeznania Nowelicza; wydobyto z wody trupa, wykryto dorożkarza, który wynajął swe konie zbrodniarzom, wreszcie u Wasiliewa znaleziono kosztowności Anny Simon. Bojczew, pomimo tych wszystkich dowodów, zapierał się do końca. Winni zostali zasądzeni, jednak sąd potrafił ku zdumieniu powszechnemu znaleść dla nich okoliczności łagodzące i skazał tylko dwóch głównych winowajców, Bojczewa i Simona, na dożywotnie więzienie (zamiast kary śmierci. Tu nalęży zwrócić uwagę, że w podobnym procesie możliwe są tylko dwa wyjścia: kara śmierci lub wypuszczenie na wolność, do którego więzienie nawet „dożywotnie“ stanowi wstęp). Przewodniczący sądu zachowywał się w najwyższym stopniu stronnie, protegował Bojczewa na każdym kroku, jednak nie zdołał doprowadzić do uniewinnienia.

Taki był przebieg procesu. Dość ciekawy jest sam fakt, że prefekt policyi oraz adjutant księcia mordują z najzimniejszą krwią kobietę, za to, że ona robi skandale publiczne jednemu z nich. Pyszny jest w całej tej sprawie ów żandarm, Wasiliew, prosty „stupajka“, który, otrzymawszy rozkaz rzucenia do rzeki A. Simon, z zimną krwią wykonywa takowy, jako wolę władzy wyższej. Ale to niema jeszcze tak doniosłego znaczenia, gdyż fakty udziału policyi w morderstwach powtarzają się wszędzie. Ale proces ten ma inną, ważniejszą stronę.

Najprzód ciekawe są postacie obu głównych przestępców: Bojczew był synem znanego bandyty, brał udział w spisku przeciwko Battenbergowi, później zaś służył, jako oficer w Rosyi; Nowelicz zaś dezertował z wojska, zdołał jednak wykręcić się od kary, wstąpił do policyi i wkrótce nabrał takiego znaczenia, że potrafił skłonić księcia do ułaskawienia swego przyjaciela, niejakiego Barczika, skazanego na 12 lat ciężkiego więzienia za udział w zamordowaniu starej matki Skobelewa. Oto są ludzie, którzy zajmują wysokie stanowiska przy dworze i z którymi książe bulgarski żyje za pan brat!

Ale, ostatecznie, można by powiedzieć, że każdy panujący może być wprowadzony w błąd co do wartości moralnej swych zauszników i że Bojczew okłamał Nowelicza, mówiąc, że Koburg życzy sobie zabicia A. S. Jedna okoliczność pozwala dojść do wniosku wręcz przeciwnego. Bojczew pisał z więzienia listy do księcia, które przełapano. Listów tych nie czytano podczas procesu, ale korespondenci pism europejskich, najlepiej poinformowanych o Wschodzie, utrzymują, że B. prosił *księżnę*, by świadczyła przed sądem, że on spędził wieczór w pałacu i, rzecz charakterystyczna, w liście do niej podpisywał się poufale swem imieniem — Deczko!

Otóż niepodobna przypuścić, by Bojczew odważył się na coś podobnego, nie mając poważnych podstaw do przypuszczenia, że prośbie jego księżna uczyni zadość. Jeżeli zaś zestawimy ten fakt z przyznaniem mordercy okoliczności łagodzących, z zachowaniem się sądu i z tem, że cała zbrodnia ukartowana została w komnatach pałacowych, to musimy przyjść do wniosku że, jeżeli nawet książę bulgarski nie może być z zupełną pewnością oskarżony o wspólnictwo z Bojczewem, to w każdym razie osobistość ta związana jest z nim wieloma nićmi sympatyi, czy może - wspólnictwa w innych sprawkach.

Opisaliśmy sprawę Bojczewa, gdyż stanowi ona jeden fakt więcej na poparcie twierdzenia, że zmiana form życia politycznego nie wystarcza dla przeistoczenia z gruntu stanu faktycznego w danym kraju. Bulgarya jest państwem, które uzyskało wprawdzie bardzo demokratyczną oraz księcia, wychowanego wśród stosunków konstytucyjnych. Ale ustawy nie zdołały tam zmienić ustroju społecznego, dlatego też konstytucya bywa gwałcona na każdym kroku, a łagodne książątko prędko zasmakowało w obcowaniu ze zbrodniarzami. Dużo roboty będą mieli jeszcze nasi towarzysze bulgarscy, zanim potrafią zmusić rząd i policyę do wykonywania praw!

Z KRAJU I O KRAJU

Postępowa młodzież polska w sprawie p. Iwana Franki

Wiadomo czytelnikom naszym (zob. Przedświt, No 5), że p. Iwan Franko, rozżalony na cały naród polski za to, że dał mu przepaść przy wyborach, pozwał przed sąd swój Mickiewicza i rzucił na niego anatemę jako na „poetę zdrady“. Dał przytem do zrozumienia, że Jego Ekscelencya Badeni bawi się w „Walenrodyczność albo Walenrodyzm“, i zapłakał nad narodem, „co poetę zdrady największym zowie“.

Nędzny ten paszkwil cała prasa polska przyjęła zgodnym okrzykiem oburzenia. Może oburzenia było za dużo — zdaniem naszem, artykuł p. Franki jest zbyt idyotyczny, aby go traktować na seryo — może też, a nawet zapewne, niejeden organ galicyjskiego „patryotyzmu“ skorzystał ze sposobności,

aby shańbić znienawidzonego *radykała*. Ale nie zmniejsza to w oczach naszych ani o włos winy p. Franki i nie może bynajmniej wpłynąć na osłabienie *naszego* — bardzo złego — o tym panu zdania.

Pan Franko nigdy nie był naszym. to znaczy nigdy nie uważaliśmy go za prawdziwego socyalistę. Przed dwoma dziesiątkami lat, kiedy ruch socyalistyczny w Galicyi dopiero się rozpoczynał, dopiero stawiał pierwsze, niepewne kroki, p. Franko oddał mu pewne, dość niewielkie zresztą usługi. Ale wówczas nic jeszcze nie było wyklarowane — ani program ani taktyka, ruchu masowego nie było — mógł więc i p. Franko sam i inni mieć złudzenie, że ten demokratyczny beletrysta jest socyalistą. W gruncie rzeczy był on i pozostał uczniem Dragomanowa, którego radykalizm stanowiła dziwna meskolancya folkloru, liberalizmu, anarchizmu i socyalizmu plus zupełna nieświadomość i niesłychany nietakt polityczny.

A przytem p. Franko wykonywał nieraz — już z własnej inicyatywy — łamańce, które czasem zdumiewały jego własnych towarzyszy partyjnych. Tak np. postępowy mąż ten wziął gorąco w obronę wstrętną politykę „rutenów“ z 48 r., co wywołało ciętą odpowiedź ze strony Budzynowskiego. Oto co między innemi mówił p. Franko w art. „Ne w poru patos“ („Narod“, Nr 19 z 1894 r.) : „Że rusini wraz z innymi słowianami stanęli po stronie dynastyi, nie było to, według mnie, żadnem upodleniem się, lecz owszem dowodziło zdrowego i trafnego instynktu, który podszeptywał im, że od strony przeciwnej, mimo szumnych frazesów o wolności, mogą się spodziewać jedynie większego wyzysku i ucisku. Już to samo, że na czele powstańców wiedeńskich stali po części przywódcy powstania polskiego (Bem), już to samo nie mogło ich natchnąć szczególną przychylnością dla ich sprawy“. Słowa te doskonale charakteryzują zarówno zmysł polityczny p. Franki, jak i jego „sympatyę“ dla społeczeństwa polskiego.

Bądź co bądź, p. Frankę ceniliśmy do pewnego stopnia, jeżeli nie za co innego, to za jego beletrystykę.

Jednakże jego histeryczne wystąpienia w ostatnich czasach, a szczególnie ów osławiony artykuł o Mickiewiczu, przekonały nas, że p. Franko jest działaczem nie tylko niepewnym, o wątpliwej barwie społeczno-politycznej, lecz wprost szkodliwym. Dawniej nasi towarzysze galicyjscy mogli go jeszcze traktować jako tako poważnie, dziś — nie istnieje on dla nas, jako działacz polityczny, i niema potrzeby zachowywać dlań choćby takich względów, jak dawniej.

Nie pisalibyśmy już o p. France, którego postępowanie należycie ocenił tow. Os . . . arz w Nrze 5 tym Przedświtu, gdyby nie „Głosy akademickiej młodzieży polskiej w sprawie dra Iwana Franki“ (Lwów 1897). „Czytelnia akademicka“ we Lwowie wydała w swoim czasie „List otwarty“ w tej sprawie, gdzie w bardzo ostry sposób napada na p. Frankę. Z tego część młodzieży lwowskiej i krakowskiej wzięła asumpt do napisania rodzaju protestu przeciwko listowi „Czytelni akademickiej“. O cóż chodzi protestującym? Właściwie nie o samo jądro rzeczy, lecz chyba tylko o ostrość wyrażeń, użytych w liście „Czytelni“, o to, że p. France zarzucają tam „podłość“. Bo wszyscy zgadzają się na to, że p. Franko zgrzeszył, że artykuł jego wszystkich boleśnie dotknął, że France „szło jedynie o rzucenie rękawicy już nie tylko panującym dzisiaj w Galicyi sferom, ale wprost naszej idei demokratycznej“. Wobec tego, doprawdy nie było racyi wydawać protestu. Kwestya, czy p. Franko popełnił świadomą podłość, jak chce Czytelnia akademicka, czy też działał w napadzie „rozdrażnienia i przenerwowania“, jak utrzymują protestujący — kwestya ta należy do psychologa lub — patologa. Tak czy owak, p. Franko stał się „niemożliwy“ — jego artykuł o Mickiewiczu dopełnił tylko miary jego grzechów; sentymentalizm i wzgląd na to, że Franko tak pięknie opisuje dolę chłopa i robotnika — nie powinny nam zamykać oczu na jego szkodliwość, jako działacza politycznego.

W najnieszczęśliwszy sposób protest swój wyraziła część młodzieży lwowskiej. Zgadza się, że „pogląd“ p. Franki na Mickiewicza jest niedorzeczny, ale broni p. Franki w imię — tolerancyi przekonań i swobody krytyki. Tolerancya — jest to frazes, zbyt często nadużywany. Mimowoli przypominamy sobie żandarma, który się niedawno skarżył na nietolerancyjność socyalistów: „pomiłujtie“, powiada, „Zejdowski (szpicel) działał z przekonania, on był tylko w innym obozie“. Wszystko w ten sposób można wytłómaczyć.

Nie, panowie, nie myślimy być tolerancyjni dla p. Franki, gdyż w artykule swoim zdradził złą wolę i poprostu oplwał pamięć poety i *całe* społeczeństwo polskie.

Śmiesznie sofistyczne jest następujące rozumowanie autorów protestu: „Więc tak? Więc to słusznie nazywać oszczercą, podłym, nikczemnym, denuncyantem tego, kto naszej uznanej świętości narodowej za swoją świętość uznać nie chce . . . Czy podziela autor zdanie, że można było słusznie, tak pojmując rzecz, w swoim czasie nazywać chyba Mickiewicza zdrajcą za to, że pozwolił sobie interpretować, jak mu się podobało, dajmy na to Koźmiana i Osińskiego, uważanych przez ówczesne społeczeństwo za świętości prawie . . .“ Naprzód, Koźmian i Osiński żadnemi „świętościami“ dla nikogo nie byli — byli tylko powagami literackiemi dla szczupłego grona inteligencyi warszawskiej. Mickiewiczowi nie sięgali nawet do pięt, jak mu nie sięga pierwszy lepszy Franko. Powtóre, walka Mickiewicza z krytykami i recenzentami warszawskimi była to walka geniusza, torującego nowe drogi literaturze, z zaśniedziałą rutyną i oschłością pseudoklasycyzmu. Tymczasem p. Franko jest marnym pigmejem, który *ze złą wolą bezcześci* genialnego i ukochanego wieszcza.

Do p. Franki da się zastosować porównanie, którego Lasal użył względem Juliana Schmidta: „Psy ze szczególną lubością wybierają sobie najwspanialsze monumenty, aby je zapaskudzić“.

Powtarzamy: rachunki nasze z p. Franką są skończone — a i „postępowa młodzież galicyjska“ przestanie go chyba bronić w imię jego przeszłości i tolerancyi przekonań.

* * *

Ugodowcy nowego rodzaju

Był czas, kiedyśmy we własnym obozie mieli wielu ludzi, którym uśmiechała się niezmiernie „legalna, oparta na umiejętnem wyzyskiwaniu praw“ działalność. Na podstawie tego, że cenzura przepuściła parę książek, traktujących kwestye ekonomiczne z punktu widzenia naukowego, budowano śmiałe przypuszczenia, że będzie można całą robotę uświadamiania, ba, nawet organizowania klasy robotniczej prowadzić legalnie. Noszono się z zamiarem wydawania pisma, broniącego interesów robotniczych, myślano o założeniu jakiejś resursy rzemieślniczej, opowiadano sobie na ucho, z wielką powagą, że jeden z naszych znakomitych socyologów studyuje kodeks cywilny i ustawę karną, by rozwinąć szeroką działalność legalną. Przykra rzeczywistość rozwiała te złudzenia i dziś niema chyba w zaborze rosyjskim ani jednego socyalisty

o drowych zmysłach, który by nie zdawał sobie sprawę z tego, że prawie cała nasza robota musi być prowadzona konspiracyjnie. Ale głupota ludzka jest nieprzebrana, to też chęć prowadzenia roboty legalnej „z korzyścią dla ludu“ spotykamy zawsze i to nawet wśród ludzi, którzy uważają się za przeciwników ugody z Rosyą.

Tu musimy zastrzedz się, że nie uważamy bynajmniej za ugodowca *każdego*, kto zechce wyzyskać jakieś prawo w celach politycznych. Sądzimy np., że gdyby dzisiejsza polityka rządu rosyjskiego doprowadziła z czasem do jakichś poważnych ulg wolnościowych, to należałoby skorzystać z nich natychmiast. Byłby to najlepszy sposób przekonania się, czy te ulgi są trwałe, czy też przeznaczone wyłącznie dla zamydlenia oczu publiczności i osłabienia rosnącego bez ustanku ruchu socyalistycznego. Ale od upadku ostatniego powstania nic podobnego nie istniało, a i dziś nie zanosi się na żadne zmiany, które by pozwoliły ludowi roboczemu bronić skutecznie swych interesów w stowarzyszeniach, na zebraniach, w prasie itp. Póki zaś tego niema, póty wszelka akcya legalna, *zalecana jako system*, musi pomagać ostatecznie akcyi ugodowców. Cóż bowiem oni robią, jak nie starają się wmówić w publiczność polską, że jej interesy mogą być bronione pod rządem rosyjskim? Ugodowcy w mundurach perswadują to włościanom, a do niedawna próbowali wmówić to i w robotników miejskich, ugodowcy w sutannie i we fraku szambelańskim zwracają się do szlagonów i burżuazyi — do nich przyłączają się nieświadomi ugodowcy „ludowi“, którzy wmawiają w siebie i w innych, że można robić legalnie coś poważnego dla polepszenia bytu klas pracujących. Propaganda tego rodzaju mogłaby bez wątpienia wzmocnić chęć zgody z losem wśród sfer, na które i my liczymy w naszej działalności politycznej, gdyby nie logika faktów, która zadaje kłam wszelkim zapewnieniom ugodowców ludowych, jak wykazała fałsz i obłudę żandarmskich umizgów do ludu miejskiego. Ale, niekiedy, sprawa nie tak jasno się przedstawia, dlatego warto przyjrzeć się jej bliżej.

Nieraz już zwracaliśmy uwagę na niebezpieczeństwo, grożące nie tylko klasie robotniczej, lecz wprost narodowości polskiej ze strony monopolów rządowych. Są one w każdym razie kanałami, przez które napływa do kraju naszego mnóstwo urzędników i robotników rosyjskich, ludzi wrogo się do nas odnoszących i prawie niedostępnych dla naszej agitacyi. Ale oprócz tego monopole groźne są jeszcze z tego względu, że przy ich pomocy rząd nakłada swą łapę na instytucye, dawniej prywatne i niezależne, rusyfikuje je, kontroluje i rozpościera coraz większą sieć szpiegostwa. Przeszły na rzecz rządu już prawie wszystkie koleje i straciło zajęcie mnóstwo polaków, którzy czy byli socyalistami, czy nie, w każdym razie stanowili element, podatny na naszą lub patryotyczną propagandę; wkrótce zniknie prywatny handel wódką i znowu napłynie cała sfora stupajek i łapowników; wiele drobniejszych instytucyi, jak zakłady kąpielowe, biura posłańców itd., które dawniej były prywatne lub wypuszczone przez rząd w dzierżawę, — dziś prowadzone są przez urzędników państwowych. Otóż w prasie polskiej spotykamy czysto cielęce zachwyty nad takiem upaństwowieniem i radość z tego, że dziś owe instytucye będą prowadzone „porządnie“, że zmniejszy się wyzysk pracy robotniczej i publiczność będzie lepiej obsłużona itd. Jest to najzwyklejszy demokratyzm carski: cóż z tego, że paru biedakom lepiej może będzie się działo pod rządami carskiego sługi, niż w zakładzie prywatnego przedsiębiorcy (choć to jest bardzo problematyczne, gdyż za monopolem państwowym idzie prawie zawsze rusyfikacya, zatem wydalanie polaków), gdy zapłacą oni za to utratą i tej drobnej swobody, jaką posiadali, póki zależeli od przedsiębiorcy prywatnego — niemożnością strejkowania, zatruciem ducha przez rządową propagandę szpiegostwa i zdrady. Choćby nawet ci polacy, których rząd tymczasowo toleruje w swej służbie, woleli los dzisiejszy od dawnego, powinni byśmy występować przeciwko monopolom, gdyż klasa, która by wyrzekła się swych ideałów za marny ochłap chwilowego polepszenia bytu materyalnego, dowiodłaby tem, że jest niedojrzałą i niezdolną do zajęcia stanowiska kierowniczego w społeczeństwie.

W danej chwili zajmuje nas sprawa następująca: przy zaprowadzeniu monopolu wódczanego rząd rosyjski organizuje mistyfikacyę, zwaną „popieraniem wstrzemięźliwości“. Na czem to ma polegać, łatwo się domyśleć: obok składów wódki, która będzie zatruwała po dawnemu ludność, założone zostaną różne niewinne komitety, które nie powstrzymają nikogo od pijaństwa. Ale jeżeli w Rosyi podobne próby są tylko niewinne, to u nas rezultaty ich mogą być bardzo groźne, również niebezpieczne dla ludności, jak próby filantropijne Hurkowej i komisarzy cyrkułowych. Tymczasem taki np. „Głos“ gada z powagą o „pożądanych owocach“, które kuratorya wstrzemięźliwości mogłyby przynieść, i biada nad tem, że ta instytucya podobno nie zostanie wprowadzona do Królestwa.

„Głos“ wogóle nie zawsze rozumiał różnice między chłopomaństwem a demokracyą. Religia była dlań dobra, byle by była chłopska, a chwilowe polepszenie bytu materyalnego jakiejś garstki wydawało mu się alfą i omegą programu społecznego. Z tego powodu pismo to np. wpadło w zachwyt z powodu zamiaru przejęcia biura posłańców przez warszawski zarząd miejski, chociaż ta reforma oddawała ogromną ilość ludzi pod bezpośrednią kontrolę policyi. Nie pisaliśmy o tem jednak, gdyż przyznamy się, że nie mieliśmy serca napadać na ludzi, którzy bez ustanku borykać się musieli z wymaganiami najdrapieżniejszej i najgłupszej chyba w świecie cenzury, a czasami nawet stawali się sąsiadami naszych towarzyszy w cytadeli. Ale dziś, gdy p. Wasilewski jest sekretarzem najwyżej zatwierdzonego komitetu mickiewiczowskiego i pomaga Radziwiłłowi do wykonania sprytnej intrygi ugodowców, gdy cały „Głos“ i z tonu i z treści coraz bardziej zaczyna zbliżać się do kuryerków — nie poczuwamy się do żadnych skrupułów i będziemy bez ceremonii chłostali wszelkie wystąpienia tego pisma, mogące przyczynić się do wzmocnienia istniejącego, niestety, u nas demokratyzmu carskiego.

* *
*

Odezwa z powodu przyjazdu cara. — W przeddzień przyjazdu Mikołaja II do Warszawy, gdy burżuazya nasza z „miłością“ oczekiwała „ukochanego monarchy“ (słowa p. Wielopolskiego, któremi przywitał cara), towarzysze nasi pokazali jeszcze raz rządowi, że nawet zdwojona gorliwość policyi, która panuje zawsze w takich okolicznościach, niezdolna jest przeszkodzić wyjściu i rozpowszechnieniu odezwy. Dlatego, chociaż „ukochany monarcha“ „wierzy zupełnie w szczerość uczuć wszystkich warstw ludności polskiej“, jednak musiało mu się zrobić lżej na duszy, gdy pojechał między żubry białowieskie.

Nie bawimy się zwykle w czcze pochwały dla wydawnictw P. P. S., ale tym razem nie możemy się powstrzymać od wyznania, że ostatnia odezwa jest jedną z najudatniejszych zarówno pod względem formy, jak i treści. Oto jej brzmienie:

Towarzysze! Robotnicy!

Nie pierwszy to raz noga carów moskiewskich ma deptać bruk Warszawy. Od stu lat, jakby na stwier-

dzenie swego panowania nad nami, carowie zdobywali się nieraz na odwagę spojrzeć w oczy buntowi, który u nas zdawał się obrać sobie stałe siedlisko. Lecz po raz pierwszy Warszawa ma spotkać cara nie jako okuta w łańcuchach i wstrząsająca nimi groźnie buntownica, lecz jako uległa niewolnica, pokornie leżąca u stóp swego pana.

Tak przynajmniej zapowiadają ci, którzy wyzbywszy się ostatków godności ludzkiej, w wyobraźni już zmieniają swą pokorę na ruble, ordery i posady. Gwałtem chcą zmusić wszystkich, by okrzykami hucznymi zagłuszyli jęki, wydobywające się z ziemi przesiąkniętej krwią bohaterów, a świątecznym strojem i wesołym wyglądem rozchmurzyli czoło kata, wstępującego do grodu męczenników — jego ofiar. Wisłę, której fale nieraz wzbierały łzami i krwią mordowanej przez carskie żołdactwo ludności, dziś jakby na urągowisko poległym za wolność Polski synom, uwieńczono napisem : „Boże caria chrani“!

Car przejedzie po ulicach Warszawy otoczony nie wojskiem i kozakami, jak zwykle, lecz szeregiem oddanych mu polaków. Nieswojsko mu będzie w tem niezwykłem otoczeniu, lecz złoży on tę ofiarę „ukochanemu narodowi“, jak otoczenie złoży „ukochanemu monarsze“ w ofierze swój honor, godność i sumienie. I w imieniu narodu opowiedzą carowi, jak Polska jest szczęśliwą pod jego panowaniem.

Słyszycie, robotnicy, w waszem imieniu oświadczą, jak wam jest dobrze, gdy pod opieką cara wyciska z was pracę pan i fabrykant, jak dobrze, gdy policyant i żandarm znęca się nad wami, gdy szpicel śledzi za każdym waszym krokiem i słowem, gdy setki braci waszych więżą w cytadelach i wywożą na Sybir. W waszem imieniu wyrażą żal za grzechy przeszłości i obietnicę poprawy na przyszłość.

Lecz hańba ta nas nie dotknie — zostanie ona w całości udziałem tych, którzy zawsze szukali u władzy oparcia dla swych celów samolubnych. Nie chcą oni Polski wolnej, bo ciemna ich robota wymaga mroku, jaki właśnie stwarza niewola. Krwią naszą i potem zdobyte bogactwa dziś bałwanowi ucisku obracają na kadzidło, a za ten tryumf, zgotowany carowi, zapewniają sobie nowe zyski i nagrody, dalsze panowanie nad nami przy pomocy policyi, żandarmów i wojska. Raz jeszcze kosztem ludu pracującego klasy posiadające zawierają sojusz z najezdcą.

Towarzysze! Nie mamy dziś możności w imieniu wyzyskiwanych przemówić do cara takim językiem, który jedynie jest dla niego zrozumiałym — językiem siły i przemocy. Musimy jeszcze pozostać niemymi świadkami szopek powitalnych i służalstwa tych, co cisnąć się będą dla okazania carowi swej wiernopoddańczości. Patrząc na tę wystawę podłości o różnych barwach i odcieniach, możemy tylko z dumą wskazać na nasz sztandar czerwony, gdzie ugodowe błoto nie sięga.

W socyalizmie, w ruchu robotniczym, spoczywa dziś ta siła, co skruszy kajdany najazdu i wyzwolenie przyniesie społeczeństwu. I choć nie witamy dziś cara ani bombą, ani z bronią w ręku, zarówno on jak i nowi polscy satelici jego czują dobrze, że mają w nas zdecydowanego wroga. Wybaczają sobie oni teraz dawne urazy wzajemne, a blask i rozgłos przyjęć cara w Warszawie ma świadczyć przed światem o sile tego sojuszu, na zrozumieniu interesów wyzyskiwaczy opartego.

Lecz nic nie powstrzyma wzrastającego niezadowolenia mas pracujących i dążenia ich do wolności i równości. Nieugięci wobec zjednoczonych wrogów naszych z tem większą energią walczyć, przygotowywać i skupiać swe siły będziemy, aż nadejdzie wreszcie chwila, kiedy na ulicach Warszawy zagrzmi potężny okrzyk powstającego ludu :

Śmierć despotom! Precz z niewolą!
Niech żyje wolny polski lud!

Centralny Komitet Robotniczy

Warszawa, 30 sierpnia 1897 r.

* * *

Łódź w końcu lipca. — I Łódź została zaszczycona wizytą generał-gubernatora Imeretyńskiego. Przyjęto go owacyjnie, jak nakazywał z góry ułożony program uroczystości. Jednakże pomimo usilnych starań naszych ojców miasta, kleru i fabrykantów (nie mówiąc już o instytucyach rządowych i władzach wojskowych) „dostojny gość“ wyjechał z Łodzi w nadzwyczaj złym humorze. Przyczyną zaś tego była taka drobnostka, jak . . . złota papierośnica, prezent cara Aleksandra III. Rozmarzony owacyami, książę Imeretyńskij zostawił był ją w roztargnieniu na stole w klubie oficerskim. W parę chwil potem, spostrzegłszy brak tak cennego upominku, wydelegował jednego ze swych adlatusów do klubu, ale — o zgrozo! — papierośnica zniknęła bez śladu. Książe mógł się pocieszać, co prawda, błogiem, choć w dość bolesny sposób nabytem przekonaniem że „zdzieś Ruś, zdzieś Rusju pachniet“, ale zawsze papierośnicy mu była szkoda. Policya śledcza z p. Kowalskim na czele, rozpoczęła gorączkowe poszukiwania. Prowadzono je tak gruntownie, że kazano biednym polikusom własnoręcznie badać wnętrze miejsc ustępowych . . . Po paru dniach bezskutecznych badań tego rodzaju, policya otrzymała list anonimowy, objaśniający, że owa papierośnica znajduje się w ustępie andrzejowskim (przystanek drogi żelazn. fabr. łódzkiej). Spenetrowano więc ten przybytek i znaleziono papierośnicę. Przywłaszczyciel dotychczas nieznany. Rozmaite dane pozwalają przypuszczać, że mógł nim być oficer miejscowego pułku piechoty. „Patryota“ ten chciał widocznie w łatwy sposób przyjść do posiadania daru carskiego, ale prawdopodobnie stchórzył w ostatniej chwili i ukrył ją w miejscu, najmniej odpowiedniem ze względu na jej wysokie pochodzenie. Muszę nadmienić, że wszyscy kelnerzy, którzy w owym dniu feralnym usługiwali w klubie, zostali aresztowani i haniebnie przez policyą pobici. Podobno mają zamiar wnieść skargę zbiorową do Imeretyńskiego.

Burżuazya nasza zbiera składki z powodu przyjazdu Mikołaja Chodyńskiego do Warszawy z gorliwością, godną lepszej sprawy. Najbardziej imponują jej kwity, wydawane w języku polskim. Bodaj to patryotyzm naszych klas posiadających! Poznański — syn powiada z egzaltacyą :

— Widzi Pan, ja się nie boję wydawać kwitów polskich, bo u nas już teraz będzie inaczej!

Czyby to znaczyło, że będzie miał możność wystawić jeszcze jedną fabrykę z kar robotników, jak jego ojciec w swoim czasie? Przecież „lepiej“ i „inaczej“ ci panowie tylko tak mogą rozumieć . . . Bogaci przemysłowcy chętnie dają składki, gdyż imponuje im firma Wielopolskiego, który jest inicyatorem całej tej sprawy.

Istnieje u nas pismo rosyjskie „Łodziuskij Listok“. Piśmidło to marne, pozbawione wszelakiej treści, ale . . rosyjskie. Z tego też tytułu cieszy się ogromną protekcyą policmajstra Chrzanowskiego. Rewirowi i pomocnicy komisarzy narzucają to pisemko fabrykantom, kupcom, restauratorom. Nie trzeba jednak sądzić, że źródło tej propagandy tkwi jedynie w patryotyzmie stupajek rządowych. Wcale nie. Są oni za tę agitacyą płatni : policyanci za nowego prenumeratora dostają po rublu, a Chrzanowski popiera stałą pensyę. Warto nadmienić kilka słów o

redaktorze i wydawcy tego świstka — niejakim Zonnerze. W 63 r. był podobno żarliwym patryotą — dzisiaj jest agitatorem rusofilskim. W oknie jego księgarni bardzo często można oglądać mnóstwo broszur antypolskich. Czy jest on płatnym rusofilem, czy też tylko amatorem, orzec trudno, ale strzec się pana Zonnera trzeba.

Jak żandarmerya pracuje w mieście, tak policya na wsi. Całe Królestwo podzielone jest na rewiry, a piecza nad nimi powierzona jest policyantom. Każdy z nich obowiązany jest w przeciągu tygodnia obejść swój rewir i notować wszystko, co mu w oko wpadnie. Polecono im zwracać baczną uwagę na inteligentów, udających się na wieś. Co tydzień zdają oni raport swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi, a ten przesyła sprawozdanie miesięczne wyższej władzy, dodając uwagi swoje o ogólnem usposobieniu ludności. Przekonałem się, że w wielu wsiach znajduje się jeden lub nawet kilku chłopów, którzy są obowiązani donosić policyantom o drobnych faktach życia wiejskiego, a z ważniejszymi muszą zgłaszać się do naczelnika powiatu. Są oni płatni i widocznie nieźle, bo gorliwie uprawiają rolę szpiegów. Chłop taki jest zwykle inteligentniejszy od innych, przytem stara się ludzi wyciągać na rozmowę o kwestyach nielegalnych. Szpicle tacy mogą być bardzo niebezpieczni, zwłaszcza obecnie, kiedy P. P. S. coraz bardziej zyskuje grunt na wsi. Trza byłoby postarać się o zebranie wiadomości bliższych o tego rodzaju szpiclach, ażeby i ich imiona ogłaszać w „Robotniku".

Widziałem następującej treści okólnik: poleca się księżom katolickim wszystkie manifesty, odezwy i t. p. odczytywać w języku rosyjskim, przyczem autorowie jego powołują się na orzeczenie papieża i prawa kanoniczne (?), jakoby uznające język rosyjski za liturgiczny w kościele katolickim. (Wiadomość ostatnią podajemy z zastrzeżeniem i prosimy tow. Z. A. o zakomunikowanie nam tekstu okólnika. Red.) *Z. A.*

Z EMIGRACYI

Zaledwo odezwa C. K. R., wydana z powodu przyjazdu cara, przedostała się zagranicę, a już wzbudziła ona sympatyczne echo w sercach świadomych robotników polskich. W „Sile" wiedeńskiej, jednem z najsilniejszych polskich towarzystw robotniczych na emigracyi, przez aklamacyę przyjęta została rezolucya, którą niżej podajemy. Stanowi ona jeszcze jeden, i bardzo sympatyczny, objaw solidarności, łączącej wszystkich proletaryuszy polskich, bez różnicy policyjno-rządowej „przynależności" oraz miejsca pobytu.

„Zgromadzeni robotnicy polscy w Wiedniu przesyłają swym Towarzyszom warszawskim wyrazy gorącej sympatyi za ich mężny protest przeciwko podłemu zachowywaniu się naszych klas posiadających wobec nieprzejednanego wroga ludu i wolności — cara moskiewskiego. Na pohybel despotom! Precz z wyzyskiwaczami! Niech żyje Polska ludowa!"

Wiedeń 4.IX.97.

Bibliografia

Obiecaliśmy prowadzić dział bibliografii bardziej systematycznie, niż dotąd, by dawać naszym czytelnikom pojęcie o *całości* jakiegoś szeregu zjawisk. Wykonanie tej obietnicy zmusza nas do pewnej zmiany w układzie numeru, będziemy mianowicie umieszczać większe artykuły — o pewnej ilości wydawnictw, należących do jednej kategoryi — przed rubryką „Ze świata", pozostawiając na miejscu dotychczasowym mniejsze, luźne wzmianki.

Jak giną instytucye narodowe na emigracyi? nap. — a — I. *Wyższa szkoła polska w Paryżu.* Paryż w drukarni J. Maurin, Rue de Rennes 71. 1896.

Są to krótkie, ale wymowne dzieje jednej z instytucyi starej naszej emigracyi i zarazem jednego z wielu łajdactw „dynastyi" Czartoryskich, tych protoplastów dzisiejszej naszej stańczykieryi. Szkoła, o której mowa, założona ze składek publicznych i popierana hojnie przez rząd wówczas jeszcze nie-kozackiej Francyi — istniała od roku 1849 do 1871. Celem jej było przygotowywanie młodzieży polskiej — emigrantów i synów emigrantów — do specyalnych wyższych szkół francuskich. Wykłady odbywały się w języku polskim, a obok nauk ścisłych wykładano język i literaturę polską oraz sztukę wojskową. Jednem słowem była to instytucya pożyteczna. Czartoryscy skorzystali z zaufania pierwszego ofiarodawców, by dać jej swą firmę. Zawiódłszy się jednak w swych nadziejach na użycie jej za grunt do przygotowywania dworzan dla swej „dynastyi" — szkołę zamknęli i — fundusze skradli. Ciekawą jest manipulacya Czartoryskiego, który publicznie ogłasza o daniu przez siebie 50.000 franków składki na szkołę, a potajemnie robi umowę, dzięki której owe 50.000 franków są tylko pożyczką; z tego skorzystał potem dla przywłaszczenia sobie za „dług" — domu szkolnego. Autor wszystkie szczegóły swego opowiadania popiera dokumentami, a książeczka przyjemnie uderza jędrnym duchem dawnej demokracyi naszej, zajadłej przeciwniczki wszelkich frazesów o „jedności" narodowej. Napróżno szukalibyśmy tego ducha u „patryotów" dzisiejszej doby, uzurpujących sobie dziedzictwo tradycyi tej demokracyi. Niedarmo też „Wolne Polskie Słowo" w recenzyi o książeczce tej zdobyło się tylko na . . . . zarzut anonimowości autorowi!

Autor zapowiada ciąg dalszy o „Szkole Batiniolskiej." *B. J.*

Labour Annual, 1897 r., wyd. p. J. Edwardsa w Liverpoolu (adres J. Edwards, Wallasey near Liverpool). Cena 1 złr., 1 fr. 25 cent., 1 marka, 25 centów ameryk.

Wydawnictwo to — niezbędne dla każdego socyalisty angielskiego lub chcącego bliżej poznać ruch tego kraju — zawiera na ten raz więcej jeszcze materyału, niż w latach ubiegłych. Adresy, bibliografia, sprawozdania z działalności bratnich organizacyi angielskich, biografia działaczy z mnóstwem portretów, statystyka i t. d. składają się na całość również poważną pod względem informacyjnym, jak ładną ze strony zewnętrznej. Dział zagraniczny reprezentują w tym roku artykuły o ruchu we Francyi i w Rosyi. Ten ostatni napisał znany p. Wołchowski, redaktor „Free Russia", który wierny swej „polityce zaborczej" zalicza strejk w Białymstoku 1895 r. do ruchu rosyjskiego! Każdy rocznik „Labour Annual" stanowi odrębną całość, powtarzają się tylko adresy i część kalendarzowa; korzystamy więc z tej okazyi, by nadmienić, iż mamy jeszcze na składzie pewien zapas egzemplarzy z roku 1896, zawierających między innemi artykuł o ruchu w Polsce, które sprzedajemy po cenach powyżej podanych.

„Robitnyk". Organ rusko-ukrajinśkoj socyalno-demokratycznoj partyji. Wychodyt' dwa razy w misiac, 1-ho i 15-ho. NN. 1—6.

Bratnia organizacya rusko-ukraińskiej partyi socyal-

demokratycznej przystąpiła z nowym rokiem do wydawaria własnego organu, którego brak oddawna dawał się odczuwać. Pisemko to przedstawia się pod każdym względem bardzo dobrze. Dobór artykułów nader trafny, a redagowanie wielce staranne. „Robitnyk“ zamieszcza artykuły programowe, omawia kwestye bieżące i podaje kronikę ruchu. *Względem ruchu polskiego zachowuje się bardzo przychylnie.* W jednym z NN „Robitnyka“ znajdujemy fejleton, poświęcony rocznicy stracenia czterech członków „Proletaryatu“, napisany gorąco i z wielką sympatyą. „Robitnyk“ drukowany jest czcionkami łacińskiemi, co umożliwia mu rozpowszechnianie się i pomiędzy robotnikami nie-rusinami. Nowemu pracownikowi na wspólnem polu zasyłamy serdeczne życzenia i mamy nadzieję, że wpływ jego nie ograniczy się Galicyą Wschodnią i Bukowiną, ale przenikuie i na Ukrainę.

St. O . . . arz.

Niestety, zanim powyższa notatka została wydrukowana, Robitnyk zakończył swój żywot, jak się zdaje, z braku środków. Miejmy nadzieję, że wkrótce odrodzi się on i będzie prowadził znowu robotę, która tak jest potrzebną.

* * *

Z drukarni Z. Z. S. P. wyszły w ciągu r. 1896 i pierwszej połowy 1897 następujące wydawnictwa polskie :

1) P. P. S. w zaborze rosyjskim :

Ojciec Szymon. Opowiadanie. Napisał Tomek Kujawczyk. Wydania trzecie i czwarte, poprawione. 1896.

Powszechne święto robotnicze 1 maja. 1896.

Sprawa górnicza. 1896.

Czego chcą socyaliści. Napisał Warszawiak. 1897.

Powszechne święto robotnicze 1 maja 1897.

2) P. P. S. w zaborze pruskim :

Baczność! Strzeżcie się! Socyaliści idą! 1896.

Sprawa górnicza. 1896.

Pamiątka majowa. 1896.

3) Z. Z. S. P. :

Fr. Engels. Pisma pomniejsze. 1896.

K. Marks. W kwestyi żydowskiej. 1896.

Janko. Pokonani zwycięzcami. Dramat. 1896.

M. Schippel. Zmiany ekonomiczne i rozwój myśli socyalistycznej. Wyd. drugie. 1896.

W. Bracke. Precz z socyalistami. Wyd. drugie. 1897.

W. Liebknecht. Czy Europa ma skozaczeć? Z oryginalną przedmową autora i wstępem W. Jodki. 1897.

4) P. P. S. z trzech zaborów :

Pamiątka majowa. 1896.

SPRAWOZDANIE
ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH
za I półrocze 1897 r.
(w walucie francuskiej)

PRZYCHÓD.

	Fr.	Ct.	Fr.	Ct.
Opłaty Sekcyi				
Pokwitowane w numerach 1/2, 3, 4, 5 i 7 r. b. . .			460	45
Składki nadzwyczajne				
Pokwitowane w numerach 1/2, 3, 4, 5 i 7 r. b.			1.186	75
Przedświt				
Sprzedaż i prenumerata :				
w zaborze ros.	396	90		
w zab. pruskim	16	—		
w zab. austr.	101	10		
zagranicą w Europie (w czem Lond. fr. 35,50)	229	85		
za granicą w Ameryce	117	30	816	15
Broszury				
Sprzedaż :				
w zaborze ros.	273	10		
w zab. pruskim.	14	70		
w zab. austr.	322	85		
zagranicą w Europie (w czem Lond. fr. 136,30)	603	95		
zagranicą w Ameryce.	241	—	1.455	60
Buletyn				
Sprzedaż i pren.			25	70
Drukarnia i skład				
Procent od robót obcych			56	95
Na P. P. S. p. zab. pr.				
Pokw. w n. 4 r. b. 34 mk. 35 fen.			43	25
Na P. P. S. pod zab. ros.				
Pokwitowane w num. 7 rs. 4 kop. 55			11	35
Na więź. i em. pol.				
Pokwitowane w numerach 1/2, 3, 4 i 5 r. b.. . .			95	85
Na galicyjski fundusz wyborczy				
Na ręce Centr. Z. Z. S. P. :				
zebrano w Europie . .	419	60		
„ „ Ameryce . .	477	—		
przysłano od P. P. S. z zab. rosyjskiego. .	846	70		
	1.743	30		
Wysł. do Galicyi wprost	141	25	1.884	55
Ogółem.			6.081	60

ROZCHÓD.

	Fr.	Ct.	Fr.	Ct.
Przedświt				
Koszty wydania N⁰N⁰ 1/2, 3 i 4 (11 1/4 arkusza).			722	80
Ekspedycya Przedświtu. . .			77	—
Broszury				
Koszty egzempl.—				
5.000 Bracke.	174	60		
9.000 List Ks. Ścieg. . . .	25	85		
1.000 Portrety posłów . .	64	90		
2.000 Czy Europa	396	60		
250 broszur. pism. . . .	18	25		
Zakupno egz. —				
662 Gazety Robot.. . . .	61	—		
1.291 Wyd. galic.	145	—		
203 Różn. in. wyd. . . .	216	40	1.102	60

	Fr.	Ct.	Fr.	Ct.
Ekspedycya broszur.				
Koszty sprowadzania na skład wydawnictw . . .	27	40		
Koszty wysyłania.	129	20	156	60
Buletyn				
Koszty wydania numerów 12, 13 i 14.	275	80		
Ekspedycya	64	60	340	40
Transporty do zab. ros. . .			225	70
Porto listów i okólników. .			177	40
Sprawy organizacyjne				
Pensya sekretarza	600	—		
Komorne kancelaryi . . .	81	50		
Inne	52	10	733	60
Wydatki różne				
Szapirograf.	51	45		
Mat. pism..	24	70		
Materyały do pakowania.	15	50		
Depesze	30	25		
% od pożyczek.	6	45		
Inne drobne	25	50	153	85
Drukarnia i Skład				
Urządzenie	590	60		
Komorne.	325	80		
Światło.	34	45		
Opał	20	90		
Pensya zarz. drukarnią .	100	—		
Inne drobne	43	75	1.115	50
Na P. P. S. *pod zab. pr.*				
Przesłano gotówką mk. 30.	37	80		
Uregulow. rachun. mk. 4,35	5	45	43	25
Na P. P. S. pod zab. ros.				
Przesłano do C. K. R. rs. 4,55			11	35
Na więźniów politycznych				
Przesłano P. P. S. pod zab. ros. dla „Towarz. pomocy więźn." rs. 28 kop. 55			75	5
Fundusz dla emigrantów politycz.				
Zarezerwowana reszta wpływ. dla więźniów i emigrantów			20	80
Na wybory galicyjskie				
Przesłano do Krakowa i Lwowa			1.888	45
Ogółem			6.844	35

ZESTAWIENIE

	Fr.	Ct.
Rozchód	6.844	35
Przychód	6.081	60
Deficyt.	762	75

Pokwitowania

Sprostowanie : W № 5 r. b. w pokwitowaniu składek nadzwyczajnych winno być przy „Vindobona" (zamiast — 8 d.) — *1 sh. 8 d.*

Za czas od 1 stycznia do 30 czerwca do r. b. (dopełnienie umieszczonych w № 1/2, 3, 4 i 5 r. b.) :

Na rzecz Z. Z. S. P. : Opłaty sekcyi : Lond. sek. — 8 sh. 10 d.

Nadzwyczajne : Lond. płatyna po J. Dan. 2 Ł 10 8 d., sek. 5 Ł 17 sh. $1^1/_2$ d. ; *razem 8 Ł. 7 sh.* $9^1/_2$ *d.*

Na rzecz P. P. S. pod zab. ros. : Kalendarzyki w Ga. — *9 sh. 2 d. czyli 4 rs. 55 kop.*

* * *

Za czas od 1 lipca do 31 sierpnia r. b.:

Na rzecz Z. Z. S. P. : Opłaty sekcyi : W. W. Bój. — 10 d., W. Bracz. 10 d., S. Os. — 2 sh. $1^1/_2$ d. W. J. — 10 d., razem — 4 sh. $7^1/_2$ d. ; N. T. W. M. — 8 sh. 4 d.; Lond. F. P. — 1 sh. 4 d.; N.-Y. W. F. — 1 sh. 3 d. ; *łącznie 15 sh.* $6^1/_2$ *d.*

Nadzwyczajne : Lond. : A. Wr. — 8 Ł., sek. 6 sh. 9 d., W. Sik. 2 sh. 7 d., razem 8 Ł 9 sh. 4 d. ; Par. Nał. — 1 Ł 19 sh. 3 d., Vindobona : z powodu wyjścia „Górnika" — 2 sh. 2 d. ; W. S. Os. na 25 № „Rob." — 1 sh. 8 d. ; N.-Y. W. Gajew. — 2 sh. ; Mit. na ośw. lud. — 1 Ł. 19 sh. 7 d. ; Od „małej" z Z. przez W. Sikor. — 17 sh. 5 d. ; *łącznie 13 Ł. 11 sh. 5 d.*

Fundusz na więźni i emigrantów : C. A. P. — *6 sh. 4 d.*

Od Zarządu Czerwonego Krzyża dla krajowej kasy Pomocy więźniom politycznym otrzymano *125 fr.*

Na rzecz P. P. S. p. zab. rosyj. : Karls na „Górnika" 4 sh. ; Wiedeń zorganizowani robotnicy na jubileuszowy № „Robotnika" (Złr. 5.07)—8 sh. 1 d. ; *łącznie 12 sh. 1 d. czyli 6 rs.*

Na żądanie kwitujemy : W. F. z New-Yorku : a cto Przedświtu — 5 dol. 25 c., a cto broszur — 50 c., *razem 5 dol. 75 c.*

* * *

Za czas od 1 do 15 września r. b. :

Na rzecz Z. Z. S. P.: Nadzwyczajne : Lond. : Herbert Burrows — 2 sh. 6 d., J. Prelooker — 10 sh., razem 12 sh. 6 d., W. S. Osarz na wydanie brosz. Kautsky'ego (w tem labet lublański — 5 złr., Z. A. — 5 złr.) — 1 Ł. 2 sh. 1 d. ; Mit. na ośw. lud. — 1 Ł. 9 sh. 4 d.; *łącznie 3 Ł. 3 sh. 11 d.*

Na rzecz P. P. S. p. zab. rosyj.: Wiedeń zorganizowani robotnicy na jubileuszowy № „Robotnika" — (złr. 5) — *8 sh. 3 d.*

* * *

Na P. P. S. pod zab. ros. Od zarządcy drukarni rata za pierwsze półrocze na specyalne cele (100 fr.) — *4 Ł.*

Printed & published by Al. Dębski. Beaumont Square № 7 Mile End Rd. — London E.